



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

CEL ŻYCIA

POJĘTY W WYCHOWANIU.

Celem życia ogółu ludzi jest osiąść szczęście. Szczęścia wolno jest człowiekowi pragnąć, byle tylko opierał je na podstawie uczciwości i tego umoralnionego stanu ducha, który jest jego obowiązkiem, nie tylko w stosunku do własnej jego istoty, ale i do społeczeństwa; umieć być szczęśliwym w sposób uczciwy jest też poniekąd zasługą, bo każda jednostka szczęśliwa zwiększa sumę szczęścia wśród ludzkości. Powinnością naszą jest życie cenić, życie kochać, nie w jego używaniu, w zadawaniu chęci i potrzeb naszych, ale w pojęciu go jako pola pracy, pola zasługi i wcielania w żywe czyny ludzkości tych ideałów cnoty i dobra ogólnego, które ukazują się nam jako przewodnie gwiazdy życia. Ukochania nasze są bodźcami, są natchnieniem do czynów, i dlatego chęci, pragnienia odczuwane nie są rzeczą obojętną dla życia naszego wtedy nawet, gdy je rzucamy w żadną formę realną, nieprzywiązane do istnienia naszego żadną nadzieją urzeczywistnienia. Gdzie jest twój skarb, tam jest serce twoje... bo przez pożądania, przez tęsknoty uczuwane jest on zawsze przytomny myśli naszej i oddziaływa też na życie przez różne stany uczucia, które wytwarza. Owe nieokreślone smutki i rozczalenia, które nam się często w sercu rodzą, są to najczęściej przejawy pożądań, nieuprawnionych przez własną wolę naszą, a przecież mieszczących się w nas gdzieś na dnie jako ideał życia, pojmowanych skrycie jako szczęście...

Możnaby powiedzieć o wszystkich ludziach w ogóle: — Po tęsknotach ich poznać je...

i gdyby jaki czarodziej potężny zdołał zamagnetyzować tak wszystkich, aby na rozkaz jego wypowiedzi głośno noszone w głębi serca pożądania, dowiedzielibyśmy się wtedy, jak cele rzeczywistych pragnień naszych rozchodzą się nieraz daleko z drogą, którą posuwa się życie, lecz mimo to nie są one nigdy obojętne dla życia tego rzeczą. Wszystkie władze człowieka, władze umysłu i władze serca zostają w nierozzerwanym związku ze sobą, bo jedne oddziaływają na drugie, i trzeba też, aby wychowanie działało harmonijnie, ukazując cel życia — życia szczęście na tej drodze, gdzie się z obowiązkiem spotyka. Rozbudzić w istocie młodej sumienie jest najważniejszym i możnaby powiedzieć podstawowym wychowania zadaniem, bo wtedy-to przystępuje do tej młodości niedoświadczonej Stróż Anioł, ukazujący gdzie jest prawa a gdzie lewa strona istnienia. Jakkolwiek sfera działania dziecka jest ograniczoną, jakkolwiek ulega ono woli tych, którzy krokami jego kierują, niemniej posiada już ono potężną siłę jedną: moc wybierania między złem a dobrem — dozwolonym mu a zakazanym. Rodzice, wychowawcy powinni mu ten wybór ułatwiać, powinni podsuwać mu sposobność czynienia dobrze, bo istota ta młoda, niezdolna jeszcze do rozumowania, do wytworzenia pojęć oderwanych, wtedy dopiero pojmować zaczyna prawdziwe znaczenie rzeczy, gdy się ich dotknie, gdy skutki tego zetknięcia odczuje. Pisarka francuzka Necker de Saussure w traktacie swoim o wychowaniu dowodzi, że dziecko ledwo od ziemi odrósł już słyszy w głębi swojej głos sumienia — ma w zakresie wyobrażeń swoich pojęcie złego i dobrego i w dziele jej, poświęconem temu przedmiotowi, znajduje się rozdział zatytułowany: „La conscience avant trois ans”. Zdaniem jej należy podsuwać najmłodszemu dziecku sposobność czynienia dobrze, aby idea dobra zaświtała w umyśle młodziuchnym, bo jest w człowieku łączność niezaprzeczona akcyi zewnętrznej, z akcyą wewnętrzną, ze stanem uczuć

i myśli — jest ich oddziaływanie wzajemne. Przez to, co umysł, co serce młode bierze sobie z życia przez wrażenia wyobraźni, przez wzruszenia uczucia — przez rozbudzenie i skierowanie uwagi, istota jego duchowa tworzy się tak, a nie inaczej, i człowiek kształtować się zaczyna.

Uczucie godności osobistej, ambicya, puszcza kielik swój w duszy ludzkiej bardzo wcześnie i nie jest to bynajmniej stroną ujemną natury naszej, tylko trzeba, aby ideał tego, co uszlachetnia i podnosi, był skierowany wcześnie ku prawdziwie szlachetnym, prawdziwie podniosłym stronom życia. Niech dziecko młode nie przyucza się mieścić uczucia dostojności w posiadany majątku, w wyższem, lub niższem stanowisku człowieka w społeczeństwie — niech o tem stanowi jedynie uczucie godności osobistej, życia nieskażonego: a dusza młoda nie poniesie tu jeszcze szkody lecz przeciwnie, zapali się ogniem uczuć gorących dla celów pięknych i wysokich cnoty górnej, prawości nieskażonej.

Trzeba starannie badać te różnice, a gdy tylko licha próżność, pycha samolubna nie kazi tu porywów w dążeniu do celów życia wzniosłych, gdy jest szlachetnego zapału wynikiem, należy tylko podsuwać pięknej młodości takiej wzory prawdziwego męztwa, wzory cnoty czystej i hartować siły, hartować wolę, aby nie słabła, gdy pierwszy ogień uczuć gorących przyćmi grę blasków swoich — gdy przeciwności przyjdą brać próbę wytrwałości naszej. Wielkiego w wychowaniu znaczenia jest wyrobienie woli silnej, lecz niemniej ważną jest edukacya wyobraźni: gdy lot jej nie będzie poziomym, gdy zdoła się wzniesć ponad maluczką codzienność życia, uskrzydla ona i pomaga kształtować się piersi młodej według wzorów, nie krawca, ale Fidyasa, dbać nie tylko o to, co ręką ująć można. Stara formuła: — Wyobrażam sobie, więc jestem... ma głębokie znaczenie psychologiczne. Trzeba objąć siłą wyobraźni i postawić sobie przed oczyma duszy piękność ideału, ku któremu

wyciągamy dłonie, aby go ukochać i oddać mu się miłością wierną, poświęceniem gorącym — dać mu się porwać, jak Ganimed orłom niebieskim. Szlachetna wyobraźnia tak podnosi, jak przywiązana do rzeczy niskich poniża, bo trzyma nas w kole spraw i przedmiotów małych, dla których serce nie może uderzyć, rozgrzać się wzruszeniem silniejszym, zapaleć prawdziwym. Wtedy to jest ona „La folle du logis“, wtedy wprowadza zamęt i burzy szczęście, mąci ład życia, jak wszelka siła nie ujęta w karby prawa, które nią rządzić powinno. Nietylko wielkie ambicje potrzebują mieć na usługi swoją wyobraźnię, potrzeba jej każdemu z nas, aby nie był ciężko przykuty do codzienności życia powszedniej, aby mógł wprowadzić sobie w życie coś poezji, coś piękności światów idealnych.

Młodość, posiadająca dar drogocenny żywej i gorącej wyobraźni, potrzebuje przecież bardzo troskliwego, bardzo starannie prowadzonego wychowania. Michelet pisze w Pamiętnikach swoich, że zamiłowanie do studyów historycznych zawdzięcza matce, która bawiła siedmioletniego chłopczykę opowiadając mu historię królów francuzkich, odczytywaną ze starej książki z obrazkami tychże monarchin. Dziecko przyglądało się obrazkom, słuchało opowieści wielkich zdarzeń i wyobraźnia uskrzydliła się w tym kierunku, dała zamiłowanie — dała to popchnięcie wyroczne, które rozstrzygnęło o życiu całym. Cóż przecież, gdyby była wpadła w ręce ciekawego chłopczyzny z wyobraźnią gorącą książka przedstawiająca obrazy życia brzydkie? Kant nie myli się twierdząc, że „człowiek staje się człowiekiem przez wychowanie“ i dla tego też nakazuje wprowadzać w pierwsze kształcenie umysłu, wyobraźni młodej, szlachetne ideały postępu, szlachetne pojęcie ludzkości, silnie powstające przeciwko metodzie utylitarnej nauki, prowadzonej z celem przyszłej zarobkowej pracy życia. Przyjdzie na to czas w kolejach życia dalszych; młodość pierwsza potrzebuje przecież ze względu na ducha ludzkiego, który mieszka w tych piersiach czystych, kształcenia przedewszystkiem człowieka. Stawia on też dla wychowania kodeks praw w czterech głównych nakazach zawarty: „Wychowanie powinno przede wszystkim kształcić człowieka, to jest usunąć wszystko, co tu może łączyć się z naturą zwierzęcą; rozwijać w nim wszystkie szlachetne zdolności jego natury, wyrobić w nim rozsądek, pomagający do życia w społeczeństwie, na koniec tak go umoralnić, aby wszystkie cele życia poddawał najwyższemu — to jest celom moralnym i idei obowiązku.“ I dlatego kładzie on w wychowaniu kobiety nacisk wielki na zadanie jej życia w rodzinie, jako na cel życia przedstawiający obowiązek, którego zrozumienie powinno przy dobrze prowadzonym kształceniu jej rozumu i serca wyłonić się z umysłu samodzielnie, tworząc podstawę dla dalszego jej istnienia.

Zadaniem wychowania szczególnie ważnym jest wyrobienie woli silnej, opartej na przekonaniach ustalonych przez rozum, przyjętych przez uczucie. Pojęcie postępu nie znaczy odcięcia się od tego, co gromadziły wieki, bo jest to majątek ludzkości, do którego czas nasz dodać także coś powinien. Przez wszystkie lata istnienia swego na ziemi człowiek pracował, nabywał a zarazem tracił i cierpiał, ale żadne pokolenie nie zeszło bez zostawienia po sobie czegoś, co się wytworzyło z jego uczuć i myśli, aby tak żyć i działać w przyszłości, jak przeszłość w nas działała. Szczęście istnieje wśród ludzkości, jako ideał rzucany przed człowiekiem świeci drodze jego i jest wtedy niewątpliwie szczęściem — jest siłą, która pomaga żyć, bo pomaga nam pracować, a żadna praca ludzka nie ginie, tak dla tego, kto pracował, jak dla tych, wśród których żył, tylko trzeba, abyśmy umieli doszukać się owoców tej pracy naszej. Złożone są one w sercach, w umysłach naszych, i oddać je przez wychowanie tym, którzy zastąpią nas w życiu, gdy usuniemy się już z areny świata, jest jednym z wielkich celów, tak każdej pojedynczej jednostki, jak powszechności całych. Jeżeli chcemy przecież, aby następcy nasi wiedli istnienie lepsze, szczęśliwsze od naszego, nie czynmy z nich przedewszystkiem ludzi rozpieszczonych, więc miękkich i słabych, pojmujących szczęście

przez użycie i nieumiejących szukać go w sobie, nie przez samolubne do swego ja przywiązanie, ale przez uczucie spełnionego obowiązku, przez spokój eichy i zadowolenie serca, jakie otrzymujemy wtedy.

Takie przygotowanie do życia jest każdego wychowania celem najwyższym i stworzyć w piersiach dzieci swoich niesamolubne, szlachetnie bijące serce, dać im miłość dobra, dać siły i odwagę do pracy, to zabezpieczyć je, o ile można, od trosk, cierpień, bolesnych zawodów życia. Ludzkość wie nie od dzisiaj, że to jest najlepszym szczęściem ugruntowaniem.

M. I.

Samuel Adżai Crowther,

Czarny biskup Nigru.

Ostatnia poczta z zachodnich brzegów Afryki przywiozła do Europy wieść o śmierci jednej z najwybitniejszych postaci „ciemnego ładu“ i w ogóle rasy czarnej: sławnego biskupa państwowego kościoła Anglii Samuela Crowthera, pierwszego biskupa-murzyina.

Znałem osobiście tę czcigodną postać i wieść o jego zgonie wzruszyła i zasmuciła głęboko wszystkich, którym oświata mas ludów afrykańskich i otwarcie ich olbrzymiego ładu dla światła leżały na sercu. Zgon Crowthera osierocił całe obszary owego ładu i — kto wie czy wielka jego praca znajdzie rękę, która choćby z przybliżoną siłą poprowadzi dalej rozpoczęte dzieło oświaty — a *non progredi* znaczy w tych stronach na pewno *regredi*.

Dziwnem było, zaiste, zrzucenie Opatrzności, przez które biedny chłopak-niewolnik, — krajowiec z murzyńskiego królestwa Yoruba, zwany krótko: Adżai, został powołany na stanowisko, na którym przez trzy ćwierci wieku blisko miał następnie rozlewać światło duchowe na miliony swych ciemnych ziomek afrykańskich.

Niezwykłymi były losy sławnego „Biskupa Nigru“.

W początkach 1821 roku panowała krwawa wojna w krajach leżących nad dolnym Nigrem — w Yorubie. Mahometańscy Fulahowie, wzmocnieni mnóstwem przyłączających się zbiegłych niewolników i handlarzy niewolnikami, pustoszyli i obracali w perzynę wszystko, co tylko napotykali w swym pochodzie na południe.

Miedzy innymi napadły rozjuszony zastępy zachodniego Sudanu pewnego poranku zniemacka na kwitnące miasto Yoruby — Aszogun. Miasto — po pierwszym panicznym przestraszach broniło się rozpaczliwie, lecz napróżno; spalono je do szczytu a uciekających wyłapano i związano razem ze zwyciężonymi wojskami Oszegunu jako niewolników.

W jednej z chat zdajdowała się podczas walki murzynka z trojgiem dzieci i chorą siostrzenicą. Ojciec, ostrzegłszy ich o niebezpieczeństwie, stanął w szeregach walczących mieszkańców i padł w obronie domowego ogniska; matkę rzucono na pole jako również zabita; jaki spotkał los resztę dzieci — niewiadomo; najstarszy chłopiec zaś, Adżai, mający wtedy około 13 lat, został wzięty jako niewolnik.

Po zwykłych barbarzyństwach marszu karawany niewolniczej, pędzonej na sprzedaż przez skwarne puszcze i dżungle, zdobywcy zagnali swój żywy towar do miasta Isehu, gdzie zaprowadzono jeńców przed głównego naczelnika plemienia, który zabrał połowę ich dla siebie, oddając resztę podwładnym kacykom jako trofea wojny.

Młody Adżai stał się własnością naczelnego kacyka, przez którego został niebawem wymienionym na konia i odesłanym przez nowego swego pana na rynek niewolników w Dah-Dah. Tu ku wielkiej swej radości spotkał się nieoczekiwanie ze swą matką, którą uważał był za umarłą. Mu-

zynkę, wyleczoną z ran, z przyczyny których straciła była przy wzięciu miasta Oszegun przytomność, sprzedano również do Dah-Dah.

Radość ich jednakże nie trwała długo: chłopca sprzedano nanowo i, przeszedłszy przez mnóstwo rąk, stał się on wreszcie własnością mahometańskiej kobiety, z którą udać się musiał do kraju Pipo (dzisiejszej niemieckiej posiadłości na Brzegu Niewolniczym), na wybrzeża odwiedzane często przez portugalskie okręty niewolnicze.

Mahometanka obchodziła się wprawdzie nieźle z młodym Adżai; myśli jednak, że może zostać nanowo sprzedanym, wpaść w ręce „znienawidzonych okrutnych białych“ i zostać nazawsze wywiezionym z ziemi ojców za morze, doprowadziła go do rozpacz: postanowił się udusić powrozem. Nie taki los jednakże był mu przeznaczonym. Spostrzeżono jego zamach samobójczy zawczasu, i młodzieniec musiał dalej ciągnąć nie swego żywota, to zaś czego się obawiał więcej niż śmierci, zaprzędanie Portugalczykom, stało się rzeczywiste jego udziałem, lecz tylko dla tego, by mógł wstąpić na drogę świetnej swej późniejszej działalności.

Zakupiony przez *negriera*, dostał się do portu Lagos i wraz ze 186 innymi kawałami „czarnej kości słoniowej“ (*black ivory*), — taką była nazwa handlowa towaru żywego! — wyexpedowano go do Ameryki.

Crowther, opisywał niejednokrotnie w późniejszych latach cierpienia, jakie zadawała niewolnikom taka przeprawa morska. Skuci łańcuchami, w cuchnącej jamie pod podkładem, umierali z pragnienia i braku powietrza. Morska choroba, męcząca sama przez się, była niezem w porównaniu z dodatkami, jakie wytwarzały owady, brak światła i powietrza, i nieludzkie obchodzenie się ze strony żałogi, batożące za najmniejszą skargą. Szczury okrętowe przytem, przeciwko którym spętane ich ręce i nogi bronić się nie mogły, obgryzały im ciało.

Niedaleko wyspy *Principe* jednakże nastąpiła nagle zmiana losu. Dwa okręty wojenne angielskie ścigały zaczęły *negriera* i zdobyły wkrótce ohydny *brig*.

Handlarze niewolników uciekali się w takich razach do strasznych środków obrony własnej. Otwierali kłapę umyślnie dla tej ostateczności przeznaczoną i spuszczały przez nią cały swój żywy ładunek, obwieszony kajdanami, na łono oceanu, w nadziei, że rewidujący okręt wojenny nie znajdzie nie podejrzanego i przepuści mordercę-defraudanta, mającego na razie pozory niewinnego okrętu handlowego.

Tak też stało się z żywym ładunkiem „niewolniczego brigu“: ocalał jednak młody Adżai, który się był schował między dwa worki soli i zpośród nich podniósł nagle głowę podczas rewidowania okrętu przez officerów angielskich, jako groźne *mento mori* dla białych opryszków, którzy po sumarycznym sądzie wojennym zawiśli na rejach własnego statku.

Oswobodzonego chłopca wysadzono na ląd w Sierra Leone, dokąd udały się krzyżowce angielskie, gdyż w głównym porcie tej kolonii *Freetown*, znajdował się wtedy mieszany trybunał przeciwko okrętom niewolniczym, instytucja, która zwykle karała śmiercią *negrierów*, zabierała ich okręty i równocześnie osiedlała oswobodzone ofiary.

Oddany do szkoły misyjnej, należącej do angielskiej *Church Missionary Society*, młody murzyn zwrócił z samego początku uwagę swych nauczycieli niezwykłą inteligencją, prawością charakteru, rzadką w dzikim synu przyrody, i co uderzało jeszcze więcej: żądzą wzrastającą kształcenia się.

D. 11 Grudnia 1825 r. został Adżai ochrzczonym przez anglikańskiego duchownego J. Rabana i otrzymał jako imiona i nazwisko: Samuel, Adżai Crowther. Ponieważ misyje wtedy słusznie wymagały, by każdy ochrzczony prozelita obierał sobie równocześnie jakąkolwiek professyę, któraby mu w przyszłości był zapewniła, Crowther kształcił się następnie jako cieśla i był podobno bardzo zręcznym w swoim zawodzie.

Nie wystarczał mu to jednak.

Żądny wiedzy, wyjednał sobie u misyi to, że posłano go z jednym jej członków, — niejakim Mr. Da-

vey, do Anglii, w której po raz pierwszy przebył mniej więcej rok.

Podczas tego pobytu, poruszono w Angli z zapalem kwestyą racjonalnego i systematycznego kształcenia oswobodzonych niewolników na zachodnim brzegu Afryki i wytworzenia wyższego kolegium duchownego, któreby państwowemu kościołowi Anglii dało czarnych duchownych. Nie ulegało wątpliwości, że wśród mas ciemnych, a w szczególności nad rzeką Niger i w stronach Lagosu, gdzie człowiek biały był wtedy dla umysłów krajowców ową potworną postacią, dla której odbywają się *razze* (napady krwawe) niewolnicze, i dla której wloką tysiące ich za ocean do ciężkiej jakiejś nieznamanej pracy i doli, misjonarz czarny torowałby sobie drogę nieskończenie łatwiej i skuteczniejszą byłaby jego praca, niż białego kolegi. Wytworzenie tych czarnych pośredników było koniecznym, by zapoznać afrykańską ludność z faktem, że dzięki kilku szlachetnym umysłom w Anglii, nastąpił przewrót ogólny na świecie, że biali ludzie nigdy już nie będzie się zjawiał w postaci handlarza niewolników, lecz, że zadaniem nowej ery jest, przeciwnie, wydzieranie ofiar ze szponów gnębieli i niesienie im, wraz ze swobodą, darów światła i cywilizacji.

W 1827 r., C. L. F. Haensel, anglikański duchowny i filantrop, wyruszył do Sierra Leone i objął naczelną kierunek wprowadzonego już w życie instytutu, obecnie znanego na brzegu afrykańskim jako *Fourah Bay College*.

Pierwsze nazwisko na liście początkowych 6-ciu studentów kolegium było Samuela Crowthera.

W raporcie posłanym do Londynu w roku następnym odzywa się o nim dyrektor instytutu: „Studenti nasi są rzeczywiście młodzieńcami pełnymi entuzjazmu i wiary. Zwracam jednak szczególną uwagę na młodego Crowthera, który jest przejęty swym zadaniem i zdaje się być wybranym przez Boga, nie tylko na godnego głosiciela Pisma Świętego wśród swych braci czarnych, lecz również do zagrzewania swych kolegów w wierze, pracy i wytrwałości“.

Po kilku latach widzimy Crowthera już asystentem, wykładającym w kolegium *assistant-teacher in the College*, następnie oddzielnym misjonarzem w innych częściach afrykańskiego pomorza, a zawsze prawie w punktach, w których funkcyą taką była dla warunków lokalnych szczególnie trudna lub prosto niebezpieczna, aż wreszcie został powołany na wybitne stanowisko do Fourah Bay, gdzie wkrótce wpływ jego i znaczenie stały się pierwszorzędnymi.

W tym czasie ożenił się Crowther, wybierając za żonę przedmiot swej miłości z pierwszych lat po oswobodzeniu w Bathurst i Sierra Leone, młodą murzynkę zwaną Asano, także odbita przez angielskich oficerów na pokładzie zdobytego okrętu niewolniczego. Asano, otrzymała swe wykształcenie także w szkole misyjnej dla dziewcząt, i jako anglikanka, stała się następnie *Susanna Crowther*.

Z 1841 rokiem rozpoczęła się na zachodnim brzegu Afryki nowa faza działalności humanitarnej i cywilizacyjnej, pamiętnej na wszystkie czasy, a z nią często połączona jest postać naszego bohatera. Była nią epoka sławnych ekspedycji Nigru. Żadna z owych świetnych wypraw, podjętych z inicjatywy Rządu Wielkiej Brytanii, nie obyłaby się bez Crowthera. Wspomnę tylko „D-ra Baikie“, „Plejade“, „Henry Vehn“, „Aethiope“, „Dayspring“ i tyle innych nazw niezapomnianych w historii Afryki.

Podjęto je dla zadania ostatecznego ciosu wywozowemu handlowi niewolników na zachodnich brzegach, dla zawarcia stosunków z plemionami wielkiej rzeki Niger, wrzynającej się głęboko w pasma Sudanu i sięgającej przez ramię swe Binue w samo serce ciemnego lądu, i dla postawienia po jej brzegach, i po bliższych traktach, szkół ludowych i stacji oświaty. Pierwszym głosem w Anglii był przecież wtedy Lord Palmerston, a więc można było oczekiwać od niej wspianych dzieł ludzkości!

Crowther stał się wykonawcą tego głosu w Afryce.

Wśród roznamiętnionych żywiołów tych stron posuwała się jego pogodna postać naprzód prze-

jęta dziełem, jakie mu powierzono. Niejednokrotnie upadał pod brzemieniem swego zadania; febry, dysenterya, rany otrzymane, przykuwały go przez miesiące całe do łóża cierpień; ale zawsze w końcu wyszedł zwycięzko, i spokojne jego oko ukazywało się nanowo na pokładzie parowozu rozpoznającego oświatę po wielkiej rzece, lub przed namiotem wśród plemiennych walk i rozterek, czuwającego nad spełnieniem pokojowych, wzniosłych swych zadań.

W jednej z tych wypraw spotkała wielkiego apostoła Nigru wzruszająca niespodzianka.

Żadny działający we własnej swej pierwszej ojczyźnie w Yorubie, Crowther udał się do Abeokuty, stolicy tego kraju, gdzie zresztą miał załagodzić od pewnego czasu trwające spory krajowców i tu, podczas gdy przemawiał do tłumnie zebranej ludności, przypadła do niego stara murzynka z okrzykami radości: była to jego matka, której go wy-darto mniej więcej przed 25 laty.

Opisując chwilę tę w swym dzienniku podróży, Crowther tak się wyraża:

„Ujrawszy mnie, zadrżała. Nie mogła wierzyć swoim oczom. Objęliśmy się z całych sił, spoglądając na siebie w głębokim miłczeniu i zdumieniu, podczas gdy łzy, jak groch spadały po jej pomarszczonych policzkach. Massa ludzi otoczyła nas wkrótce. Drżała ciągle, trzymając mnie za rękę, i wołała na mnie pieszczotliwymi imionami, których—pamiętałem to dobrze—używała zwykle moja babka, dawno zmarła w niewoli. Nie mogliśmy zresztą słowa wymówić; usiedliśmy spokojnie, rzucając od czasu do czasu tklawe spojrzenie na siebie, spojrzenia, które dawno nie nawiedziły jej oblicza, również jak zgasło było prawie, przez te długie lata, uczucie miłości. Dwie moje siostry, które zdobyto z nami, są obydwie u mej matki, która je pielęgnuje wraz z wnukami urodzonymi w niewoli, w niewielkim miasteczku, dość blizkiem ztąd, zwanem Abakà. Tak więc, nieoczekiwanie, gdy wszelkie jej poszukiwania śladów moich okazały się daremnymi, połączył nas Bóg nanowo, zmieniając bóle nasze w radość!“

Dziwnem musiało być to spotkanie: oświeconego apostoła światła, człowieka o szerokich wzniosłych poglądach i aspiracjach, z rodziną składającą się z dzikich nagich fetyszerek. Radość Crowthera jednak i jego odnalezienie rodziny nie miała być długotrwałą. Podczas nowej plemiennej rozterki, uczyniono znów najazd na Yorubę, i siostry wraz z dziećmi nanowo sprzedano do niewoli. Crowther wtedy żąda po raz pierwszy urlopu dla spraw rodzinnych, udaje się za zabraniami kobietami do zwyczajnego plemienia i wykupuje je za cały swój szczypty bardzo fundusz, jaki zdołał sobie uezbić, poczem udaje mu się uspokoić kraj i zakłada w Abeokucie misję, której pierwszą uczennicą i prezelitką staje się jego stara matka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kobieta w XX wieku

STUDYUM

Juliusza Simona

Człon. Akad. fran.

i

Gustawa Simona

Doktora Medycyny.

(Dokończenie).

X.

Wychowanie fizyczne.

„Niechaj kobiety XIX-go w., których córki będą kobietami XX-go wieku, mają energią uczynić dla

swoich dzieci to, czego dla nich nie uczyniono.“ Cały sposób życia dzisiejszy jest niezdrowy. Gdyby kobietom dzisiejszym narzucono to życie wyczerpujące i bezładne, które prowadzą, nie zniosłyby go. Lecz one wytworzyły sobie obowiązki, są porwane wirem światowych prądów, od których nie mogą się usunąć, gdyż nie chcą, żeby o nich zapomniano!... Matki dzisiejsze, wzorowe, żalą się z goryczą, że nie dano im należytego wychowania. Uczyły się potrosze wszystkiego, albo i wiele, lecz czyliż przygotowano je do roli matek? One mają nam dać ludzi silnych, niezłomnych, obywateli dla kraju, — a czyliż znają najprostsze wymagania higieny?! A jest to przecież dla kobiet nauka nad naukami, najważniejsza, która przywiązuje do ogniska domowego, która musi zachwycać każdą matkę, która może uspokajać obawy serca, która zabezpiecza, żeby nie były, jak dzisiaj, bezbronne wobec dziecka, cierpiącego — wskutek niewiedomości.“

Autor lekarz rozwija w sposób najprzystępniejszy zadania matki, pod względem zdrowia dzieci i w ogóle rodziny. Nie możemy tu wdawać się w szczegóły, ani całego systemu przedstawiać, lecz będzie na miejscu zaznaczyć zasady i poglądy, wymienić nakazy.

Wychowanie dzisiejsze źle przygotowuje do karmienia dzieci. Przykra to konieczność używania mamki; w XX-ym w. może się kobiety bez nich obejść.

Czy matki wiedzą, że i dlaczego należy dzieci ważyć? co znaczy nabytek wagi w pierwszych dniach, a potem przybytek i jaki powinien być stosunek?

Kołyska, na biegunach, z firankami, odbierająca powietrze, jest pod każdym względem niewłaściwą, często szkodliwą i powoduje wypadki i choroby. Lekarz dzisiaj jest niezbędnym, ciągłym ratunkiem, musi on być poniewczasie nauczycielem higieny. Czy matki młode wiedzą, ile, kiedy, jak często dzieci karmić i czym? Czy wiedzą, jak należy stosunkować ciepłotę pokoju, czy radzą się termometrów? „Gdyby nasze córki uczone pierwszych reguł higieny, gdyby je poznajamiano z pierwszemi staraniami około dziecka, ocalilibyśmy każdego roku (we Francji) wiele dzieci i nie byłibyśmy świadkami strasznej klęski wyludnienia.“

Jakoby w rozmowie z młodą matką dotyka autor zlekka wszelkich spraw fizycznego wychowania od urodzenia aż do zamażpójścia dziewczyny. Jest to gawęda, która ma ten cel, żeby pobudzić do rozmyślenia i zachęcić do zapoznania się z temi sprawami, a więc rozmowa o kąpieli, o ciepłym zbytecznem, o odłączeniu, o szkodliwości powijaków, o swobodzie ruchów, o spaniu, o ząbkowaniu, o odżywianiu, o szkodliwości przeładowania, pielęgnowaniu i ćwiczeniu żołądka, „gdyż dobry żołądek wytwarza dobry charakter, wesół humor, sprzyja zdolności do pracy, ochocie do zabawy, utrzymuje swobodę umysłu i sprężystość ciała.“ Przodkowie nasi nie znali higieny i dzisiaj pogardza się zbyt często tą nauką (która olbrzymie uczyniła postępy) z tej racji, że nasi przodkowie wcale się nie pieścili, a przecież wychowywali się i byli dzielni. Lecz racya ta mylna opiera się na znajomości naszej tych przodków, którzy przetrwali, odchowali się i wychowali; zapominamy zaś o tem, ile dawniej było ofiar, które ginęły lub charlały wskutek braku higieny w wychowaniu. Jedną wielką zaletę mieli przodkowie: trzymali się jednego lekarza, przyjaciela rodziny, który znał dobrze wszystkich jej członków, ich usposobienie, skłonności i słabości, któremu też ufano.

Dalej mówi autor o ubieraniu dorastającej dziewczynki, przy czem gorsetów nie potępia bezwzględnie, tylko żąda zastosowania ich do budowy, wykluczenia prętów stalowych, a potępia ściskanie dla robienia figury; przyczem żołądek, płuca i wnętrzności są brane na tortury i cały organizm cierpi. Również gorąco przemawia za swobodą nogi, za uczeniem dziewcząt chodzenia, gdyż w naszym wieku mało która, wskutek niezdrowego obówa, wykrzywającego nogę, umie chodzić swobodnie i zgrabnie. Oczywiście, domaga się ćwiczeń fizycznych, innych przecież niż dla chłopców, nieskoków i sztuk, ale znowu higienicznych, zastosowanych do budowy i wieku. „Nie należy formować dziewcząt na lalki z porcelany, trzeba im dać mu-

skuli, siłę, tegie zdrowie, ażeby je uzdolnić do spełnienia ich przeznaczenia w świecie. „Lecz, jak przeladowanie niszczy żołądek, tak przesadna gymnastyka niszczy dzielność ciała.

Wielki nacisk kładzie autor na potrzebę dostatecznego snu i żąda, żeby się młoda dziewczyna wczasy kładła spać na dziewięć godzin. Obszerniej zwraca uwagę na to, że nie umiemy jeść i nie umiemy się żywić. Zaspokojenie głodu, a odżywianie—są to sprawy różne. Głód można uciszyć nawet niezdrowymi pokarmami, oraz zgoła niepożywnymi. Uciszenie głodu nie jest odżywianiem, a o tem przekonywa np. używanie przez dłuższy czas, wyłącznie czy-to mięsa, czy ryb, czy jarzyn, czy potraw mącznych. Każda taka wyłączość, nie odżywi organizmu, ale sprowadza zgubne skutki. Tylko mieszany sposób odżywiania się jest zdrowy; różnorodność mieszania jest nieskończoną, a praktycznych w tej mierze wskazówek trzeba się nauczyć. Trzeba zaś jeść, co i ile się należy, choć się niema uczucia głodu. Zachowywać trzeba trzy warunki: potrawy powinny być dobrze wybrane i przystosowane; należy przy jedzeniu dokładnie gryźć, żuć; należy jeść tyle razy dziennie, ile żołądek może. Dzieci jedzą łapczywie, mało gryzą; grzeszą tem i starsi; nie dają sobie czasu do jedzenia, obciążają żołądek dużymi kawałkami, zamiast miazgi, a żołądek robocie trawienia poddać nie może. Więc niechajże dzieci przy stole gwarzą—przynajmniej, gdy niema gości—bo tym sposobem jedzą wolniej i gryzą. Nie należy zasiadać do jedzenia następnego, dopóki poprzednie nie zostało strawionem. Czas potrzebny do trawienia zależy od przedmiotów, od zawodu i usposobienia, od pory roku, od klimatu, od regularności pory każdego jedzenia. Jak się trawienie stosunkuje odnośnie do tych wszystkich warunków—tego należy się nauczyć, trzeba się znać na tem, chcąc zdrowo wychowywać dzieci i zdrowo odżywiać całą rodzinę. Niemniej ważną jest umiejętność używania płynów, które mogą ułatwiać, albo utrudniać odżywianie. Kawa i herbata mają pewne zalety, jeżeli się ich umie używać. Wody gazowe, pozornie przyjemne, są wręcz szkodliwe; zdrową jest woda zwykła zaróżowiona winem. Postępując według racjonalnej metody, którą należy sobie przyswoić, czuwając nad utrzymaniem równowagi sił, otrzymuje się najlepsze warunki odporności przeciw chorobie, zmniejszenia i złagodzenia jej przypadłości, odzyskania sił przy zdrowieniu. W pogadance można o te rzeczy potrącić tylko; zapewne w XX-ym wieku będą one rdzennym przedmiotem nauki. Osobny ustęp poświęca jeszcze autor hygienie temperatury pod napisem: pierwszy bal. Przedstawia ogromne niebezpieczeństwa toalety balowej dla zdrowia, ale nie kusi się o reformę w tej mierze. Kobiety chcą się podobać, a ta dążność, chwalebna zresztą i naturalna, czyni je szalenie odważnymi we względzie narażania zdrowia. „Wiem, że należy się pogodzić z niewłaściwościami balu i dekolowania—więc tylko idzie o środki ochronne, o ostrożność“. Nie narażać się na zimny powiew z okna, mieć pod ręką okrycie, nie wracać do domu, aż po ochłodnięciu i wypoczynku... Jeszcze hygieną cery i włosów. Puder prawdziwy może służyć do ususzenia skóry, byle go dobrze wytrzeć, byle porów nie zaklejał. Puder jako kosmetyk, to rzecz szkodliwa, zdroźna i brzydka, chybia zresztą celu, gdyż tak, jak i szminki, nie trwa, powstają plamy, twarz staje się wstępną. Bezwarunkowo szkodzi wszelki puder włosom, osusza je, pozbawia pożytku, psuje..... Autor jest wyrozumiały, skłonny do kompromisów—byle nie przeciw prawom natury.

XI.

Maż. Podróż poślubna. Dom.

Koniec książki nawraca do początku, do własnego gniazda, do rodziny.

Idzie więc o to, żeby dziewczynę wydać za maż. Ma to być człowiek dzielny, zdrowy, wykształcony, o zapewnionem stanowisku, mogący zapewnić szczęście. Jak się przekonać o tem, że młody człowiek ma te zalety? Autor nie stawia przesadnych

wymagań, nie żąda, żeby bezwarunkowo lekarz miał wydawać pozwolenie, ale zaleca dokładne informowanie się o rodzinę i sposób życia, a pociesza tą uwagą, że przecież społeczeństwa nie są tak złe i chore, jak je pesymiści jednostronnie przedstawiają. Większa część małżeństw ma warunki względnego ludzkiego szczęścia. Niech się nikt nie kusi o zmianę doraźną społeczeństw i zwyczajów, ale niech każdy dokłada starań możliwych i godziwych, żeby uniknąć szkody. W dwóch wypadkach autor małżeństwo wyklucza: między krewnymi oraz między ludźmi, w których rodzinach są, czy były, dziedziczne, czy częste, choroby groźne.

Podróż poślubna jest konwenansem zgubnym, który w zasadzie pociąga za sobą oplakane skutki. Przyjęto niebacznie to mylne uprzedzenie, że na straż wstydlivosti młodej żony stoi ilość kilometrów, które ją oddzielają od rodziny i przyjaciół. Autor zaś powiada: Zgadza się na to, żeby młodzi małżonkowie schronili się w zaciszu, zdala od wzroku tłumu, przyjaciół, nawet rodziny, gdzieby mogli w pokoju zacząć życie wzajemnej ufności, nadziei i wrażeń. Niechaj znikną w jakimś miasteczku, lub wiosce; lecz niech nie popełniają głupstwa i błędów, niech nie folgują przesądowi i modzie. Cóż może być przeciwniejszego usposobieniu młodych małżonków, nad włóczęgę, życie w wagonie, w hotelach, gdzie pożywienie nie zdrowe, usługa niewłaściwa, spoczynek niewygodny? A cóż dopiero jeżeli które zasłabnie, co tak często się zdarza i tak zresztą jest naturalnem! Boć przecie młoda małżonka najmniej jest do podróży i niewygód usposobiona; znajduje się ona w złych warunkach higienicznych, które podróż pogarsza. Toż przecie cały okres narzeczeństwa—to była dla niej gorączka, niepokój i fatyga, okres wzruszeń wyczerpujących siły, nocy bezsennych. Więc biedaczka wstępująca w nowe warunki życia, ma się z nimi zapoznać na drogach rozstajnych. Czy widział kto narzeczoną, któraby nie była zmęczona? Ten stan zmęczenia, choćby nie odczuwany wskutek radości i zadowolenia, niemniej organizm osłabia i czyni tem wrażliwszym na wszelkie niewygody i przygody. Tradycja podróży poślubnych jest bezwarunkowo zdroźna. Młodzi małżonkowie niechaj w ciszy i pokoju życie rozpoczną, a podróż im nie ucieknie; niechaj ją odbędą później, gdy już przygód zgubnych dla zdrowia nie będą się potrzebowali obawiać. Na to zawsze czas.

Tą metodą małżonkę przedstawia nam wreszcie autor jako gospozię skrzętną, pilną, porządną, strzegącą czystości, bo wychowano ją w dbałości o przyjemność własnego domu, wychowano ją w wieku mikrobów. Ona się wszystkim zajmuje, nie nie lekceważy, nie jej nie męczy i nie nudzi co domu dotyczy—jest dzielną. Tylko dzielne kobiety są matkami dzielnych pokoleń; wychowano ją w tem przekonaniu. Żona nie jest lalką na pokaz, ani pieścielką tylko i cukierkiem; ją zajmuje coś więcej prócz zabawy i kokieterii; ona wie, że nie na to jest, żeby nie nie robić; zna obowiązki żony, matki i pani domu; główka jej i serce są dobrze umeblowane.

Młode kobiety z końca wiekudadzą nam kobiety wieku następnego; trzeba, żeby to były kobiety prawdziwe, takie, jakie chce mieć natura i jakich społeczeństwo potrzebuje. Nie będą to pedantki, ani purytanki—sztywność i ośchłość nie godzą się z pięknoscią i wdziękiem,—ale nie będą to także stworzenia, które nie wiedzą co z sobą robić, które są do niczego, które balamucą się urojeniami przeciwnymi naturze. „Kobieta, która nie była wychowaną wyłącznie na to, żeby być szychem, przedmiotem zbytku, lecz którą tak chowano i kształcono, żeby mogła być pożyteczną towarzyszką, a w potrzebie i współpracowniczką męża, której inteligencja jest rozwiniętą nie pozornie tylko, która umie pociągać przyjaciół wdziękiem umysłu i delikatnością serca, umie sobie stworzyć salon i być w nim udziałną władczynią; kobieta, która umie być pierwszym lekarzem i pierwszą nauczycielką swojego dziecka, która umie kierować tem wielkiem ministerjum, które się nazywa ognisko domowe“, umie poddać wielce złożonej roli żony, matki i kobiety światowej—ta kobieta stwierdza swoją prawdziwą wyższość; jej córki będą prawdziwymi, jak ona, kobietami, będą wy-

wierały w XX wieku wpływ poważny i trwały, odzyskają władzę, którą kobieta z wolna utraciła.

Oto jest osnowa i dążność dzieła, którego zaletą jest to, że w sposób prosty, bez frazesów i bez ciężkiej uczoności daje wyraz mądrości opartej na doświadczeniu wieków i na badaniach nauki. Prądy nowe sprowadzają autorowie do ich właściwej wartości, liczą się ze zmienionymi stosunkami, domagają się wielorakiej naprawy, ale zawsze w tych warunkach i granicach, które zakreśla natura ustroju kobiety i ustroju całego społeczeństwa ludzkiego.

Alfr. Szczepański.

NIEWOLNICA.

POWIEŚĆ

przez

Bronisława Grabowskiego.

(Dalszy ciąg).

X.

— No, teraz odpoczniesz sobie, jakbyś urlop wziął od władzy domowej — rzekł wesoło Kołoszewicz, skoro Justyn zdał mu sprawę z wyjazdu małżonki.

Lekceważący ton słów owych dotknął niemile Talskiego.

— Przepraszam cię — odrzekł urażony — mam teraz pustkę w domu, do której bynajmniej nie jestem przyzwyczajony.

— Jeśli tak, to postaramy się rozrywać ciębie. Słuchaj, czy lubisz polowanie?

— Przynam ci się, że nie miałem fuzyi w rękę od ostatnich wakacji, spędzionych u nieboszczyka ojca... jeszcze za czasów uniwersyteckich.

— To przypomnisz sobie. Mam w domu dwie dubeltówki, jedną leciuteńką, niby piórko, w sam raz... dla fuszerów.

Talski był synem agronoma, który trudnił się zarządem dóbr wielkich panów, wiążąc zaledwie końce tam, gdzie poprzednicy jego majątki robili. Staremu wiodło się jeszcze gorzej, skoro utracił żonę, która dopomagała mu gospodarowaniem na własną rękę w granicach dozwolonych kontraktem i sumieniem. Z domu rodzicielskiego pan Justyn wyniósł trochę różnorodnych wspomnień, więcej smutnych, niż wesołych, oraz pewną ilość przyzwyczajęń wiejskich, które bardzo prędko zatarły się w mieście, gdzie młodzieniec od wyższych klas gimnazjalnych dobijał się sam bytu przy nauce. Polowanie mało nęciło chłopca, przywykłego więcej do siedzenia nad książką; ztąd strzelał słabo, i to do marnych ptaszków. Pomimo odwyknięcia od fuzyi dał się jednak towarzyszowi nakłonić do chodzenia z nim razem po polu, nosząc wszelkie broń śmiertelną dla parady jedynie.

Czasami przez kilka godzin tak zwanych łowów nie wystrzelił ani razu, czasami znowu pudłował jakby umyślnie, a gdy Kołoszewicz szydził z niego, odpowiadał:

— Przynajmniej nie mam na sumieniu śmierci żadnego z tych swobodnych dzieci przyrody, które mordujemy beztrosko, korzystając z przewag swojej inteligencji i oręża. I dlaczego? Czyż nie dla czezej zabawki? Potrzebujemy zabijać czas, który nam ciąży, więc dla tego bezkrwawego morderstwa bez najmniejszego wyrzutu dopuszczamy się krwawego.

Kołoszewicz śmiał się pełną piersią; myślał, że jest to zreczny sofizmat dla zasłonięcia niezręczności zbyt łatwo pudłującego strzelca, wszelako mylił się najzupełniej. Życie zmieknęło do reszty i tak miękkie z natury serce Justyna Talskiego, a myśli jego, obracające się ciągle około tematu mnożenia summy dobrobytu i szczęścia bliźnich, uczyniły go tklwym i na cierpienia oraz śmierć stworzeń.

Tkwilo w nim obecnie usposobienie słodkie, miłośnicze, pojednawcze... marzył o szczęściu, zdobywanem za pomocą szczęścia cudzego, a przed oczyma ducha stawał mu często ów wielki święty z Assyżu, który przemawiał do „brata“ osła i prawil kazania „siostram“ jaskółkom.

Po kilku tygodniach pobytu w gub. Płockiej przyjechała pani Walerya, nie zawiadomiwszy bynajmniej męża o terminie swego powrotu. Zwabiony rzadkim w stronach swego mieszkania turkotem dorożki, Talski wyrzwał przez okno i spostrzegł, że ta zatrzymuje się przed domem. Gdy wybiegł na spotkanie, z wehikułu wysiadła powoli pani Walerya, a za nią wyskoczyła młoda panienczka lat około czternastu. Dorożka zawalona była koszami, koszykami, pudełeczkami.

— Pragnęłam mieć córeczkę na wychowanie — mówiła Talska z zagadkowym uśmiechem — otóż przywiozłam ci córeczkę. Prezentuję ci ją... Pelasia Paczanowska, kuzynka nasza.

Dziewczę dygnęło niezgrabnym dygiem i skrzywiło usta do jakiegoś dziwnego uśmiechu. Zpod nieco pomiętego kapelusika ukazała się twarzyczka płaska, z dość regularnymi rysami; krótko ucięte ciemne włosy wysuwały się w pewnym nieładzie. Talski spojrzał na nią ciekawie i mimowolnie zdjął go dreszcz wstępu... dziewczę było rażąco zezowate.

Z pewną śmiałą rezolucją Pelasia wydawała rozporządzenia służącej co do wnoszenia kosztów i pudełek, tymczasem pani Walerya weszła do pokoju i rozsiadła się wygodnie na kanapie.

— Żebyś wiedział, jak mi Paczanowscy byli radzi — mówiła z zadowoleniem — to się nawet opisać nie da. Opakowali mię całą prowiantami, jabłkami, serami, masłem, płótnem niebielonem!

Talski rzucił okiem na wchodzącą do pokoju dziewczynkę; pani Walerya odgadła w jego wzroku zapytanie.

— Co to za jedna, chcesz zapytać? — rzekła — Pelasiu, pokłoniłaś się już wujkowi? Już... no, to dobrze. Widzisz, to kuzynka po bracie Paczanowskiego, wychowuje się u nich, przyjechała do gospodarstwa. U nich zresztą dzień cały *rejment*, więc dali mi Pelasię na czas jakiś, żebym miała pomocnicę w domu.

— Nie pomocnicę... wyręczycielkę we wszystkim, droga ciociu! — odparła dziewczynka, całując panią Waleryą w rękę i w kolana.

Talskiemu przypomniawszy się doskonale obraz Paczanowskiej, obcałowującej senatora, senatorową; w dziewczynce dostrzegł teżsame giesta, teżsame ruchy, nawet tenże sam dziwny uśmiech pochlebezy i zagadkowy.

Doskonale zrozumiał cały obrót rzeczy. Paczanowska zasypała gości swego czułością, darami, a przytem zrobiła interes: wpakowała mu spadeł ongi na zasadzie pokrewieństwa brzemie, przedstawiając wprawdzie dwoje rąk do pracy, lecz zarazem indywiduum ludzkie do żywienia i ubierania. Było to w domu szlacheckim, nie chłopskim, więc koszt utrzymania, rzucony na szalę wraz z pracą, znacznie tę ostatnią przeważał. Nie dziw, że chwycono oburącz sposobność oddania brzemienia w inne ręce, choćby kosztem darów i czułości krewieńskich, na czem pani Walerya, nieobeznana ze stosunkami ludzkimi, nie poznała się weale, zwłaszcza gdy jej rzucano na wędkę przynętę, nader słodką, dla... miłości własnej.

— Jakie tam życie na wsil! — mówiła z niezwykłym w niej uniesieniem pani Walerya. — Tylko wieś, albo Warszawa, a nie jakieś tam partykularze, gdzie żyje się jak na pustyni, a ludziska w oazy wlażą, zwłaszcza wtedy, kiedy są najmniej pożądanymi!

Po przyjeździe pani Waleryi z Pelasią wszystko powróciło do dawnego stanu. Właściwie nie... nastał okres gospodarowania z kanapki, którą Talska, jakby umyślnie, przed wyjazdem poprawiła i świeżym adamaszkiem pokryła. Siadywała teraz po całych dniach z książką w rękę, wydając najrozmaitsze rozkazy i zlecenia, które, kręcąc się niby fryga, zezowata dziewczyna spełniała z niesłychaną szybkością i dokładnością. Przytem przy najmniejszej sposobności całowała ręce i kolana Talskiej, powtarzając aż do znudzenia:

— Droga, kochana, nieoceniona ciociu! Cio-

teczka, doprawdy, jest istny anioł w ludzkim ciele!

Talskiemu Pelasia kłaniała się tylko obojętnie, a jej dziwny, zagadkowy, szyderczy protekcyjnalny uśmiech wskazywał, że chytry podłotek doskonale sytuacją domową pojmował. Pelasia rozumiała bardzo dobrze, na którą stronę obrócić cały wydatek tkliwości i starań, a dla której strony nie zadawać sobie niepotrzebnej fatygi.

— No, mój drogi! — powiedziała po kilku dniach pani Walerya — czy nie lepiej mieć w domu taką posłuszną i usługującą krewniaczkę, aniżeli wprowadzać przybłędę z ulicy, która, Bóg wie, jakie maniere i nałogi wniesie ci do domu?

XI.

— Powiedz mi — pytała nazajutrz pani Walerya męża — dlaczego my nie robimy majątku?

Talski wytrzeszczył na nią oczy z podziwieniem.

— Dlaczego? — odparł — dlatego, że nie możemy.

— Nie możemy, czy nie chcemy?

— A któżby nie chciał zrobić majątku, gdyby tylko miał możność?

— Rozumie się, że nikt go nie robi, jeśli tylko siadzie i będzie czekał, aż sam majątek spadnie mu na nos, niby liść z drzewa.

— Zkąd tobie przyszło do głowy? — spytał Talski i ze zdumieniem spoglądał na żonę.

— Żyjemy lat tyle na świecie i cośmy sobie uskładali? Gdybyś dziś umarł, to z czemże-bys mię pozostawił na świecie?

— Zapewne, masz słusność. Wysłużę ja wprawdzie emeryturę, ale do niej jeszcze tak daleko! Na wszelki wypadek ubezpieczę się na życie.

Talski, wyszedłszy z biura, udał się do ajenta i zasięgnął od niego najszczególowszych wiadomości. W domu przedstawił żonie projekt, który jednak nie spodobał się jej weale.

— To na nie — mówiła — tyle pieniędzy płacić rocznie, by potem dostać taką małą sumę. A nuż jej nie zapłacą w dodatku?

Nadaremnie Talski przekonywał o niemożliwości czegoś podobnego.

— To na nie, na nie — twierdziła uporeczywie. — Trzy tysiące... to przecież żaden majątek i to... po śmierci, jakbym, jakbym ja na twoją śmierć czekała! Zrobić pieniądze, to za życia, i to należyte pieniądze, co się nazywa... kapitały.

— To wskaż sposób — rzekł Talski z widoczną niecierpliwością.

Pani Walerya uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Tylu ludzi robi majątek i o sposób żon swych nie pyta!

Pan Justyn niesłychanie był zdumiony. Żona niejednokrotnie zazdrościła ludziom wykwintnych mebli, wygodnego i wytwornego życia, pieniędzy i znaczenia w świecie, ale podobnie katerycznej kwestyi nie wszczynala jeszcze nigdy. Talskiego gniewało to niepomniernie, ale zarazem zaciekawiało; nie mógł żadną miarą zrozumieć: zkąd taka myśl zrodziła się w jej głowie?

Niedomyślny, ani przypuszczał, że przywiozła ją prościuteńko z Płockiego. Paczanowska pewnego dnia wzięła się bardzo zrećnie do badania Talskiej: ile też sobie uskładali pieniędzy? Zdumiona odpowiedzią, że ani grosza, rzekła ze świętem oburzeniem:

— Ale to nie do uwierzenia! Dwoje tylko ludzi na świecie, a on na tak pięknym stanowisku! A cóżbyście poczęli, gdyby was coś niespodziewanie zaskoczyło?

W duszy myślała sobie zacna niewiasta: „Mogliście zrobić pieniądze, a potem zapisać nam, albo dzieciom naszym.“

Paczanowska należała do liczby tych zacnych istot, które, gdyby tylko mogły, pół świata kazałyby przyjąć do siebie i zadawałyby każdemu jakąś pracę: „ty zrób dla mnie to, ty tamto,“ a to dlatego, że są niebogaci i że ich Pan Bóg sownie dziećmi obdarzył. Nie mogła pojąć: dlaczego Talscy nie mieli zająć się zbieraniem kapitałów, któreby z czasem mogły przydać się im, to jest Paczanowskiemu?

Talska wynalazła teraz męczarnię dla męża, iową

myśl robienia majątku, która w nią z umiejętnością biegłego magnetyzera wmurowała Paczanowska. Ponieważ pan Justyn nie mógł wymyślić nic odpowiedniego, zaczęła więc tworzyć rozmaite projekta, jedne dziwniejsze i niemożliwsze od drugich.

To zachęcało się jej hodowli na wielką skalę drobiu, to znów bydła opasowego, to otwarcia jakiego handlu, to znów wejścia do spółki z fabrykantem jakimś, a zawsze przytem zapominała o maleńkiej drobnostce przedwstępnej, mianowicie: o kapitale wkładowym.

Ponieważ w czytelnicy wyszukiwała teraz powieści z żywota sfer finansowych, więc pomysły wprost z książek przechodziły do jej głowy, tylko w karykaturalnej postaci.

Dnie całe upływały jej na siedzeniu na kanapie z książką w rękę, na snuciu projektów, gniewaniu się na męża, że do żadnego z nich zabiera się nie chce, i na dawaniu rozkazów i zleceń Pelasi. Zezowata dziewczynka kręciła się, jak fryga, po domu, co chwila wybiegając z kluczykami, lub wracając z niemi, przychem od czasu do czasu całowała w rękę panią Waleryą, prawie jej przesadne komplementy w oczy.

— Ach, ciociu, dobra ciociu! Ciocia jest anioł prawdziwy! Ciocia mówi tak rozumnie, że tylko słuchać i słuchać!

— Cicho, ty pochlebnie! — lajała ją Talska, uśmiechała się jednak wiele zadowolona.

Pelasia w domu stryjowstwa zносиła taką poniewierkę, iż teraz w nowej swej siedzibie usiłowała zdobyć sobie znośne położenie i w tym celu, nauczona zbyt wczesnie doświadczeniem, uciekała się do najsilniejszej broni: pochlebiania pani domu, a zatem pani jej położenia. Na Talskiego patrzyła wzrokiem lekcyażącym, który zdawał się mówić:

— Myśl ty sobie o mnie, co ci się podoba, mnie tam nie a nie na tem nie zależy.

Wszystko to, a szczególnie nieznośne zrządzenie na temat robienia majątku, nie było zbyt przyjemnem dla Talskiego; wszelako nie odczuwał on całej przykrości wobec tego, co go z innej strony bardzo boleśnie, lubo nie bezpośrednio, dotykało. Postępowanie Kołoszewicza bolało go wiele, a do tego niesłychaną napęlało obawą.

Sangwinistyczny szlachcic ani myślał zabierać się do jakiejś pracy, nie pamiętając, że resztki kapitałów, które przywiozł był ze sobą, wyczerpują się coraz bardziej. Projekt snuł i w dalszym ciągu, ale było to raczej bawienie wyobraźni, aniżeli rzecz poważna: palea nawet nie zakrzywił, aby którykolwiek z nich w czyn wprowadzić.

Gdy mu Talski raz zrobił w tym duchu uwagę, szlachcic oburzył się, i rzekł podniesionym głosem:

— Ty pewno wyobrażasz sobie, że do przedsięwzięcia można przystępować ot tak sobie, jak do partyjki: obliczyć, czy pieniędzy dość na pierwszą stawkę, i dalej.... A gdy tak pierwsza, druga, trzecia stawka zawiodą, to chyba siadaj i płacz!

— Nie sobie nie wyobrażam — odparł spokojnie Talski — chyba to jedno, że biorąc pieniądze z kupki, możesz doczekać się chwili, gdy nie pozostanie ci nic innego, tylko sięgnąć i płakać.

— Mój drogi, — odpowiedział Kołoszewicz rozdrażniony — nikt nikomu pieniędzy w kieszeni liczyć nie powinien. Już ja sam wiem najlepiej, kiedy powiedzieć sobie „stój“ i niezyjjej opieki nad sobą nie potrzebuję.

Stosunek między kolegami szkolnymi zachwiał się niesłychanie. Odąd Kołoszewicz prawie unikał Talskiego. Był to człowiek bardzo dobry w duszy, ale nie znośił żadnego napomnienia i w tym duchu mówił:

— Niczem się tyle nie brzydzę, ile rozciąganiem jakiegoś dozoru moralnego nad człowiekiem, który już dawno doszedł do używania rozumu.

Bolało to wiele Talskiego, tem więcej, że wkrótce spostrzegł kolegę w towarzystwie rozmaitych figur płonniczych, które nie budziły w nim ani poważania, ani zaufania. Panowie ci mieli jakieś nieujęte w mieście stanowisko, ale za to uchodzili za dzielnych mistrzów w sporcie na zielonym stole. Rej między nimi wodził Garotowicz, świeżo przybyły do Płonnicy urzędniczek, który na okarzu bożków bakara i sztosła złożył spory grosz, będący, jak utrzymywał, schedą po rodzicach. Matarodowie płonniccy nabrali, jasna rzecz, apetytu na

kuś tak gruby i rozpoczęły się utarczki „bez miecza i zbroi“, które w dalszych swych wynikach okazywały się zgubnymi dla pełnych niepowściągniętego zapału bojowników, Garotowicz bowiem ogrywał jednego za drugim.

Jednego dnia rano, Talski, przechodząc około domu, gdzie mieszkali Kołoszewiczowie, spostrzegł w oknie panią Józefę, bynajmniej nie w rannym negliżu, ale ubraną całkownie. Zdawało mu się, że wyczekuje kogoś, a nawet, że ma oczy zapłakane. Skoro go spostrzegła, zerwała się szybko i odeszła w głąb pokoju.

W biurze rozprawiono bardzo wesoło, z humorem o walnej batalii, którą stoczyli matadorowie plonnicy u Garotowicza. Z początku wzięto do tychczasowego tryumfatora w obroty, każdy go dobrze podskubnął, ale w końcu Garotowicz tak się rozmachał, że całą kompanijkę poogrywał. Najwięcej miał się splukać... Kołoszewicz.

Talski zrozumiał teraz, co znaczyła obecność Kołoszewiczowej ubranej w oknie, domyślił się, że czekając na męża, nie rozbierała się przez noc całą. Serce mu się ścisnęło na myśl, jakie to tragedye muszą odgrywać się w tym niesześciwym domu.

— Gdybym wiedział—mówił Talski do żony po powrocie z biura—jak tego szaleńca powstrzymać od zguby! Muszę z nim rozmówić się koniecznie.

Talska wzruszyła ramionami.

— Ty się jeszcze czego dowojujesz przez to wtrącanie się do spraw cudzych — mówiła tonem głębokiego przekonania. — Co ci do tego, że tam ktoś koniecznie kark skrócić pragnie? Może kłaniesz przed nim i będziesz go błagał, żeby dał pokój.

I zaśmiała się, a przykre mu jej śmiechowi wtórował jeszcze przykrzejszy śmiech Pelasi. Talski zagryzł tylko wargi i wyszedł z domu.

Po drodze spotkał Kołoszewicza. Podrażniony jeszcze bardziej śmiechem żony i panny Paczanowskiej, bez namysłu przystąpił do niego, aczkolwiek mógł oczekiwać, że wszelką uwagę przyjmie opryskliwie.

Nadspodziewanie szlachetnie okazał usposobienie nader uprzejme i cierpliwie wysłuchał wszystkiego, co mu Talski powiadał. Tylko na uwagę, że powołanie Garotowicza budzi podejrzenie, Kołoszewicz zaopponował stanowczo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CIH.

Koniec Sodomy, sztuka w 5-ciu aktach (akt trzeci w 2-eh odsłonach), *Hermana Sudermanna*, z niemieckiego, po raz pierwszy w Teatrze Rozmaitości, d. 31-go Stycznia.

Rozgłos tej sztuki poprzedził jej wystawienie w berlińskim Teatrze Lessing'a w pierwszych dniach Listopada 1890 r. Jeszcze jej wcale nie znano, kiedy już była wielkim w Niemczech literackim i teatralnym wypadkiem. Minister Gossler, ówczesny kierownik oświaty i nadzorca czei bożej w Prussiech, odbywał z autorem umyślnie konferencye, aby mu wytłómaczyć, tu potrzebę niewinnej zmiany, tam znowu jakiegoś niewinniejszego jeszcze dodatku. Minister spraw wewnętrznych, dziś jeszcze funkcyjujący Herrfurth, całą noc spędził bezsenność na wczytowaniu się w manuskrypt, a gdy już nareszcie nadano nowej sztuce autora *Honoru* ten przyzwoity wygląd, który ją na scenę wprowadzić pozwalał, trzech radców ministeryalnych, trzech *Geheimrathów*—słuchajcie—w charakterze delegatów rządowych attentowało próbie generalnej, aby się przekonać, czy sztuka, w treści swej żadnych już niebezpieczeństw nie przedstawiająca, nie kryje ich przypadkiem jeszcze w samym wrznięciu scenicznym! Gdyby polityka była zegarmistrzostwem, nie mogłaby być subtelniejszą.

Jaki był ten *Koniec Sodomy* zaraz po oddaniu go

do teatru, w pierwotnej, najpierwotniejszej swej postaci? nie wiem, bo książki nie mam (jeśli wyszła), a bieżąca kronika teatralna niemiecka nie przyniosła mi danych do porównania. Niewątpliwie *ex officio* złagodzone tę Sodomę, którą autor odmalować musiał dla ministeryalnego wzroku zbyt jaskrawo, a prawdopodobnie zmieniono nazwisko jej przedstawicielki głównej w taki sposób, aby dzielnica Thiergartenu, wzięta na cel przez Sudermanna, niekoniecznie zaraz musiała się czuć obrażoną za napaść. Nazwisko „Marcinowski“ (Marczinowski), było dobrem symbolem dla „żywiółów obcych“ i rodzime mogły się tylko domyślać obrazy, nie potrzebowały jej dotykać na sobie stwierdzać.

Sztuka, mająca już taką przeszłość przy samych narodzinach swoich, w stosunku do *Honoru* oznacza postępek Sudermanna w dramaturgii. Wolno ją za mniej od niego głęboką uważać; jest ona i pozostanie dramatycznie od niego lepszą. Jeżeli pod głębokością rozumieć tę dzielność, do rdzenia, do dna sięgającą, z jaką dany autor, znalazłszy się wobec człowieka zbiorowego, prowadzi anatomiją jego obyczajów, jego cywilizacyjnych instynktów, jego wrzekomych dóbr i zawsz, zawsze zagadkowej moralności,—to sąd o *Koncu Sodomy* wstrzymać potrzeba do poznania pierwotnego tekstu; jeżeli zaś głębokością nazwiemy wprowadzanie bezpośrednie do sztuki dramatycznej rozumu, jako wytwórcy prawdy, i dyalektyki rozumowej, jako ich roznościelki,—to na pochwałę tylko nowej sztuki powiedzieć można, że mniej niż w dawnej jest w niej rezonowania, mniej tezy, mniej nawet zdrowej i prawdziwej, ale dyalektycznie, nie dramatycznie, rozwijającej się prawdy. Niewłaściwie zupełnie naturaliści w literaturze Sudermanna za swego uważają; rzeczywiście jest on tylko śmiałym myślicielem, oryginalnym dostrzegaczem życia, a przytem poetą wyposażonym w siłę odczuwania i obrazowania tej rzeczywistości, którą zzewnątrz w siebie przyjmuje.

„Koniec Sodomy“ jest nazwą obrazu wymalowanego przez artystę, który potem sam ginie w sodomie moralnej. Tej właśnie sodomy zamało jest w sztuce—z winy nietylko owych *Geheimrathów*, ale niezawodnie i samego autora. Niedomaganie to pozabawia utwór głębokości przy takich pomysłach niezbędnej już w samym tle, w samym środowisku rozwojowym głównych, dramatycznie już zorganizowanych, postaci. Drugą zasadniczą wadą sztuki jest budowa charakteru głównego: ciekawszem będzie zawsze dla widza, upadanie, niż upadek; koniecznem wzbudzenie wiary, że tu gdzie stał ten oto człowiek, było coś co upadać mogło i potrzebowało: pożądaniem wreszcie — takie zazębie nie go o świat, żeby łatwo można było rozpoznać i to, co stanowiło siłę rozpędową życia już w upadku, i to, co ją hamowało. Bohater sztuki, Wilhelm Janickow, u nas „Jänischem“ nazwany, nie ma duszy artystycznej, ani woli człowieczej — niechajby wola była już i żądza.

Brak owego środowiska ogólnego, brak zupełny owej duszy artystycznej, a w duszy znowu człowieczej, odrętwienie owej jednej, głównej żądzy, obojętność głównej życia sprężyny — nie pozwalają widzowi przenieść nazwy obrazu na samą treść sztuki, jak to założył był sobie autor. Wypełnić oba te braki — a sztuka będzie wspaniałym dramatem współczesnego człowieka. Willemu (Wilhelmowi) natura dała wszystkie swe uśmiechy: talent, rozum, piękną młodość, wdzięk podbijający i kobiety i mężczyzn; dała mu podstawę wszystkiego — zdrowie: on to wszystko zmarnował, zaprzedał tiergartenowskiej Sodomie, bankierskiego i arystokratycznie-próżniaczego świata. Do darów natury społeczeństwo dorzuciło od siebie co największego dać może: sławę, — zapewne nawet przedwczesną. Nie to wszystko nie pomogło: Willy upada i ginie. Gdzie, w czem ukrywa się ten robak, który stoczył przyszłość sławnego już malarza? W gnuśności, czy w zmysłowości? w pysze osobistej czy w mędrkowaniu ogólnem? Są talenta — nie tylko w Berlinie — talenta również malarskie, które przemędrkowały same siebie; są inne, które rozsądziła zmysłowość a rozpusta zatrąla gnuśnością i rzemieślnictwem; jest wiele takich, które przez biedę doszły do wyrobnictwa i pocieszając się kanonem umiarkowania, przez samą już nieudolność swoją należąc do

wielkiego bractwa wstrzemięźliwości geniuszów. Jakim był rzeczywiście Willy? Co mu się do zguby przyczyniło? I czy istotnie był kiedykolwiek artystą, czy mógł wymalować obraz tak słynny, jak ów „Koniec Sodomy“, który nam dziennikarz Weiss, jeden z Sodomczyków wieku, opisuje w I akcie tak zaciekawiającem słowem? Pytania te zadawać sobie musiał każdy widz myślący, a na zadawane dramat nie dawał mu odpowiedzi.

Po owym opisie obrazu przez Weissa — czy nie prawdziwego poety — można było mniemać, że główną sprężyną życia Wilhelma będzie zmysłowość: temat Don Juana — w oryginalnem tylko opracowaniu. Nie. Ten opis również rozbudził oczekiwanie przeblyskującego artyzmu, przewijającej się miłości sztuki — ideału, a choćby tylko zawodu artystycznego. Artyzm przecież rdzennie w duszy rosnąć musiał, jeżeli wytworzył dzieło tak wybitne, że w dwudziestym siódmym roku życia artyście dało już sławę. I to nie. Nie widać też i próżniactwa jako czynnika duchowej śmierci; nie widać i pychy. Niema zgoła nie, coby plastycznie rysowało się jako siła rozpędowa człowieka. Jeżeli ma nią być brak woli, jej spętanie lub odrętwienie, to i ten stan również domagał się dramatycznego upostaciowania, wyosobnienia — potrzebował być *mianowanym* w swej jakości: w sztuce niemoc nawet silną być musi. Autor żadnej z tych zagadek nie rozwiązał, żadnego z tych żądań nie zaspokoił. Jego Wilhelm jest odrazu „zabagnionym“ w *Adzie*, *versumpft*, — jak mówią Niemcy. Dramatyczność jest wszędzie, z tego powodu jest w innych, niema jej w nim samym. Ostatni okrzyk przedśmiertny do kolegi, wielbiela i ofiary zarazem, Kramera: — „Zabij mnie!“ — nie usprawiedliwia się wcale przewodem psychologicznym charakteru w sztuce. Rzeczywiście Kramer miał prawo zabić Wilhelma, ale on sam pierwszej powinien był odczuć całą etyczną wagę tego własnego swego rozkazu.

Zabagnienie jest już tak głębokiem, że nawet w najcięższej próbie dla charakteru — w scenie aktu III u Jänischów — ukąszenie żmii — Ady, grożącej rozgłosem dla mężczyzny najstraszliwszym, zastaje Wilhelma w stanie zupełnego znieczulenia — samego choćby instynktu zachowawczego — bo nawet największy niegodziwiec mógł się tu i musiał poruszyć, drgnąć oporem, o ile by zupełnie już dla życia nie zubożał. Przy tej scenie przypomniał mi się temat sudermanowskiego *Honoru* i postawiłem sobie pytanie: czy człowiek etycznie zgubiony, żadnej już rzeczywistej wewnętrznej wartości nie posiadający, nie znalazłby jeszcze w tej, złudnej, obiegowej, nominalnej, jaką jest honor — ostatniego dla siebie ratunku? Czy strach nie zrobiłby tego, czego nie zrobiła etyka? czy do pewnego stopnia nie wyręczyłby rzetelnej prawości serca w tem, co Wilhelm dla zachowania samego siebie jeszcze zrobić był zdolnym? Jest na świecie garsteczka ludzi enotliwych, jest mnóstwo ludzi uczciwych i godnych a bez rzetelnej moralnej godności; ale jest bardzo mało takich, którzyby w swych zapasach ze światem — a częściej jeszcze z samym sobą, nie potrzebowali podierać się grozą, jaką sieje niesława, t. j. rozgłos uczynku uważanego przez świat za zły. Wilhelmowi autor nawet tej ostatniej deski zbawienia odmówił.

Cóż więc jest w sztuce i dlaczego ona lepsza ma być od *Honoru*, jeżeli główny bohater jest istotnie takim kaleką, jakim go ukazuje krytyk? Jest wiele pięknych, rozumnych, a w dramatyczności szczerzotliwych rzeczy — sporo ich nawet w roli samego Wilhelma. Jego rozprawy z Adą, która go już nudzi, ale ciągle jeszcze trzyma — są kwiatami dyalektyki psychologicznej. Dobrze narysował, oświecił i wycieniował autor cały charakter Ady; że tylko zrobił, że sztuka bez niej rozwiązał. A błąd tego rozwiązania jest podwójnym: jak niewolno było autorowi obywać się bez Ady, tak niewolno mu było również do zmiecenia Wilhelma używać nagiej śmierci, wskutek choroby tkwiącej w organizmie nieponia. — Znakomitem jest przeprowadzenie uczuć dziewczęcia, Klarei, z Kramera na samego siebie, dokonane przez malarza w akcie II w domu rodzicielskim. Są na świecie tacy ludzie uroczeni, że lgnie do nich i największy grzech i enotata najczystsza: demoniczna paszcza, wszystko w siebie chłonąca. I znowu spostrzeżenie dawne, na-

nowo stwierdzone, że galernicy mają największe szczęście do kobiet.—Bardzo rozumnie za pośrednictwem kolegi, Riemana, poddaje autor Wilhelmowi myśl odrodzenia się przez czystość. Podchmielony sowizdrzał — z jakimś markotnem sowizdrzalstwem — rozumie ją tak, że trzeba czystość wiać sobie na ofiarę i pożyć. Tragiczny moment sztuki: upadek i śmierć siedemnastoletniego dziewczęcia — występuje na tle tak podbijającego, taką poezią przejętego liryzmu, że cała postać Klarei, choć niewiele miejsca w sztuce zajmuje, jest jedną z najpiękniejszych, i najbardziej zajmujących, jakie na scenie widzieć można. Patrzymy tu rzeczywiście na lilią białą, oddychamy jej czystością. Jeżeli to świadczy o jakimś szczególnym kierunku zdolności pisarskich Sudermanna, to, zaprawdę, nie o kierunku naturalistycznym.

Stara Jänischowa — to matka godna lepszego, lepiej sławnego syna — dzielny, prawy, piękny charakter. Z mistrzostwem małomówności — tak często autorem potrzebnej — Sudermann w wielkiej scenie z Adą w odsłonie I aktu III jednym tylko okrzykiem: „I ta kobieta ma dzieci!“ zarysował godność jej macierzyństwa, rzeczywistość, wiernie przez życie doniesioną do grobu. Przestrzeżenie przyszłej narzeczonej, ponad miarę obowiązków kobiety uczciwej, w akcie IV, jest już czynem ducha potrzebującego prawdy do życia. Ustąpienie owej idei czystości przez weilenie ją w Katarzynę Tattenberg, zarazem siostrzenicę Ady i jej ofiarę, bardzo dobrze obmyślane. Ratunek dla Wilhelma dobry, ale spóźniony, a po owym pierwszym odrodzeniu się miłością Klarei, będącej raczej tragicznym na niego wyrokiem. Szkoda, że go Suderman tak nie zrozumiał i nie przeprowadził w rozwiązaniu dramatu. W ogóle całe to rozwiązanie, z przyniesionymi zwłokami biednego dziewczęcia, która znalazło spokój na dnie rzeki — nie stoi na wysokości zawiązania; jest zmarnowaniem psychologicznych założeń sztuki; jest zakończeniem, ale nie rozwiązaniem. Dramat można było już w IV akcie zakończyć, albo samobójstwem Wilhelma, albo zamordowaniem go przez zdradzonego Kramera. Jedynie dobrym pomysłem tego rozwiązania jest opuszczenie, samotność, w jakiej wybraniec losu, a wróg samego siebie, schodzi ze świata.

Na tych uwagach, niepotracających weale jeszcze o budowę sztuki, zakończyć muszę swój sąd o niej. Wystawienie w naszym Teatrze Rozmaitości ucieszyłoby autora samego, gdyby mógł być na niem i rozumieć to, co mu wzrok i słuch przynosiły. Wprawdzie p. Ładnowskiemu brakło sporo do dobrej gry; ale tłumaczyć go może ta galaretowatość charakteru, za którą winię potrzebę samego autora, wytłumaczyć go też powinna i konieczność, nie zostawiająca wyboru: grać czy niegrać? Nikt inny tego Wilhelma zagrać nie mógł. Odnaczyły się w *König in Sodom* siły kobiece, a na pierwszym miejscu postawić tu potrzeba najmłodszą, p. Trapszównę jako Klarę. Człowiek lękać się powinien pochwał — bo w nich większe, niż w naganach, niebezpieczeństwo, ale młodej artystce wolno jest bez obawy przyjąć słowo uznania za doskonale odtworzenie takiej Klarei, jakiej pewno i Berlińczycy w Teatrze Lessinga nie mieli. W scenie z Wilhelmem moment kończący rozmowę nie był granym, był żywym, wionęła z niego na salę duchowa woń lilii. Dalej zatem — prawdą a pracą nieustrudzoną, dla samej siebie niemiłosierną pracą: a nieustalony jeszcze zawód artystyczny stanie się rzeczywistym powołaniem talentu.

Pani Rakiewiczowa w roli Maryi Jänisch pokazała się raz jeszcze aktorką niepospolitą. Lata nie odbierają jej ani siły, ani głosu, ani umiejętności, ani tego bezwiednego porywu, którym artysta głównie widza sobie zjednywa. Stopniowanie okrzyku: „I ona (i ta kobieta) ma dzieci!“ — świetnie przeprowadzone w dwóch momentach rozmowy z Adą. Człokość dla męża w rodzajowych obrazach trzeciego aktu, stanowczość po zdarciu maski z Ady, powaga obowiązku narzuconego przez prawdziwą moralność przy otwieraniu oczu Katarzynie — godne były najznakomitszej nawet artystki. Panna Marchello była dobrą, żywą, namietną Adą; namietność to jej żywioł. P. Kotarbiński dobrze pojął Kramera; na pewną oschłość ruchów niema już

radę. Cała sztuka szła dobrze. Wystawa staranna. Pokój Ady nowy, malowany w Wiedniu. Reżysera p. Ładnowskiego — wyborna.

Stanisław Krzemiński.

Kronika działalności kobiecej.

— Potrzeba większej liczby aptek w Rosyi przyczyniła się do podniesienia kwestyi dopuszczenia kobiet do zawodu farmaceutycznego, co też weszło w wykonanie, otwierając kobietom obszerne pole pracy. W północnych prowincjach państwa, oraz na Syberyi, apteki są bardzo rzadko rozsiane, nie raz oddalone od siebie o setki, tysiące wiorst i jest tu miejsce pracy dla kobiet, gdyby otwierały je zamożniejsze, lub tworząc spółki.

— P. Joanna Dubicka donosi z Rygi, iż panie tamtejsze zawiązały między sobą komitety, które codziennie między dziesiątą a drugą godziną z południa wydają w biurach na ten cel urządzonych potrzebującym pracę, jak szycie i naprawianie bielizny, czyszczenie odzieży, pieczenie mat, wyrób szczerotek i tym podobne zajęcia ręczne.

— Ministerium spraw wewnętrznych udzieliło pozwolenia p. Helenie Kuczalskiej na otwarcie w Warszawie zakładu leczniczo-gymnastycznego dla kobiet i dzieci do lat 12.

— Do zarządu Kolonii Letnich, utworzonego pod przewodnictwem D-ra Markiewicza, weszła D-rowska Tomaszewicz Dobrska.

— Na powiększenie kapitału żelaznego Towarzystwa Ociemniałych w Warszawie złożyła na ręce prezesa pani L. W. R. rs. 100.

— Z funduszy legowanych przez ś. p. Załęską zostanie wzniesiony w kościele na Grzybowie ołtarz marmurowy z obrazem Ś-tej Trójcy.

— Zaczyna pani, zamieszkała przy ulicy Chłodnej pod N-r 14, Rotwandowa, wydaje codziennie obiady bezpłatne dla ubogich, 220 dziennie. Uczynek ten miłosierny spełnia się od d. 22 Listopada i ma trwać do końca zimy.

— P. Wanda Turkowska zamierzyła urządzić w mieście naszym biuro posłańców kobiet, na co przecież nie otrzymała pozwolenia na zasadzie, że liczba posłańców jest w mieście naszym więcej niż dostateczna.

— Ziemianka, zamieszkała pod Warszawą, p. H., stara się o pozwolenie urządzenia kursów praktycznego gospodarstwa kobiecego na wsi. Program kursów, mających trwać sześć miesięcy, obejmuje: mleczarstwo, wyrób serów, hodowlę drobiu i trzody chlewnej, oraz wyrób wędlin, marynat, konfitur i różnych konserwów. Opłata za naukę z całym utrzymaniem oznaczona jest na 150 rs. Liczba praktykantek nie ma przechodzić na raz 10-ciu.

— P. Döllnowa, mieszkająca w Ks. Poznańskim, otrzymała medal honorowy za ratowanie tonących. W Lutym zeszłego roku odważna ta pani wydostała z wody, z narażeniem własnego życia, tonącego chłopca, pod którym lód się załamał. Tonał, gdy usłyszawszy krzyk zanurzającego się i idącego już pod lód dziecka, pośpieszyła mu z ratunkiem, chociaż i pod nią lód załamywał się kilkakrotnie.

— Wiedeńskie stowarzyszenie dla kształcenia kobiet zakłada szkołę dziewcząt, odpowiadającą pod względem udzielanej tam nauki gymnazyom chłopców.

— Nauczycielki praktykantki przy szkołach ludowych w Krakowie, nie pobierające żadnej pensyi i kształcące się na przyszłe nauczycielki wiejskie i miejskie, wniosły do Rady Miejskiej podanie o przyznanie im choćby jednorazowej zapomogi z powodu wielkiej drożyzny, panującej w mieście.

— Uniwersytet heidelberski poruszył kwestyą dopuszczania kobiet do słuchania wykładów i zdawania egzaminów na stopnie naukowe. Fakultet

filozoficzny zapewne otworzy im najpierw aulę swoją.

— Emilia Kempin, doktorka i docentka prawa na uniwersytecie w Zurychu, wniosła podanie do rady kantonalnej o dopuszczenie jej do adwokatury. Petycja ta została przecież odrzuconą, lecz jeden z posłów parlamentu szwajcarskiego i zarazem członek rady kantonalnej Zurychu postawił radzie tej wniosek: w jakich warunkach kobiety mogłyby być dopuszczone do praktyki sądowej i jakie zmiany trzeba-by wtedy zaprowadzić w konstytucyi kantonu? Wspomniana Emilia Kempin jest Amerykanką, nie powróci jednak do ojczyzny, powołaną bowiem została obecnie na katedrę profesora w uniwersytecie berneńskim.

— Znana filantropka angielska, Floreneya Nightingale, wniosła podanie do odośnego urzędu zdrowia, żądając wzniesienia rządowej szkoły zdrowia w mieście Buckingham, która pełniłaby w swoim zakresie to samo zadanie, jakiemu poświęca się *Narodowe Towarzystwo Zdrowia*. Zadaniem szkoły byłoby zatem rozpowszechnianie rozumnych pojęć o zdrowiu po wsiach przez urządzane tam odczyty. Studentki szkoły, odpowiednio przygotowane, obowiązane-by były słuchać, albo całkowitych, albo skróconych odczytów z zakresu nauk lekarskich i higieny, następnie zaś odwiedzać wieś i małe miasteczka, szerząc rozumne poglądy na potrzebę pielęgnowania zdrowia — na higienę w całym zakresie swoim: pożywienia, mieszkania, ubioru. Szkoła nie będzie pobierać żadnej opłaty.

— W Londynie wychodzący, sprawom kobiecym poświęcony tygodnik, organ królowej Wiktorii (The Queen) podaje w numerze swoim z 16-go Stycznia portret i dobrze napisany życiorys p. Zofii Szumowskiej, młodej a już zaznaczającej się przez swój niepospolity talent pianistki, przebywającej obecnie w Londynie, gdzie, jak pismo nasze donosiło już poprzednio, idąc za głosem organów miejscowych, zaczyna zdobywać sobie stanowisko pierwszorzędną muzykistki. Historia jej życia podana jest w krótkości, mieszcza się w niej przecież fakta charakterystyczne, więc rzucające światło potrzebne, aby sylwetka nietylko artystki wystąpiła jasno. Urodziła się około 1870 roku w Lublinie, gdzie jej ojciec, którego życiorys jest też podany w krótkości, był professorem gimnazjum. Talent jej objawił się bardzo wcześnie; nie mając pełna lat dwóch garnęła się już do fortepianu, usiłując odwarzać melodyjne piosenek, któremi matka do snu ją kołysała, a w piątym roku zaczęła już udzielać jej pewnych wskazówek, które pojmowała w zadziwiający sposób. Miała lat dziesięć, gdy ojciec jej został przeniesionym do Warszawy, lecz teraz pochłaniające całą dziecianną jej istotę zamilowanie muzyki zaczęło jakoby zniknąć. Przez lat pięć oddaje się z takim przejęciem nauce, że fortepian zostaje zaniedbany a umysł jej niepospolity ogarnia zakres wiedzy szerszy, niż to bywa pospolicie w wykształceniu młodych dziewcząt. Z kolei przecież wraca znów do muzyki, w szesnastym roku zaczyna się kształcić w Instytucie Muzycznym, gdzie oddaje się już namietnie, całą duszą, sztuce ukochanej, kończy też kurs nauk w czasie krótszym, niż przepisany, i bierze lekcye prywatne od Michałowskiego, wreszcie wyjeżdża za granicę do Paryża w 1889 r. i tu następuje pewien zwrot w kierunku jej dotychczasowego kształcenia się. Paderewski, z którym tu się spotkała, poznaje talent jej wyższy i objawia jej to, zaczyna dawać jej lekcye, a drugi rodak, skrzypek Górski, wpływa też na rozwój wielkich jej zdolności. W Kwietniu zeszłego roku, poprzedzona już sławą wyższego talentu, udaje się do Londynu; daje się słyszeć w wielkiej sali koncertowej St. James Hall, budzi wielki, ogromny zapal, więc występuje po raz drugi i ustala tu sobie sławę, pozyskaną w Paryżu. Kilka miesięcy temu, bo w Listopadzie zeszłego roku, ta artystka stojąca już wśród arystokracji sztuki, bierze udział w koncertach z szeregu „Popular Concerts“, co zadziwia u tak niepospolitej artystki, lecz zarazem zjednywa jej wielką sympatją, wielkie uznanie nietylko już dla talentu, ale dla szlachetnej istoty ludzkiej, i pismo, z którego czerpiemy podane szczegóły, dodaje na zakończenie: „P. Szumowska używa tu wysokiego szacunku, który budzi nie-

tylko przez swe wielkie zdolności muzyczne i wyższe wykształcenie, wyższy umysł, ale tak przez swoją skromność, jak i sympatyczną naturę.

— Szkoła dentystyczna dla kobiet została założona w Stockholmie przez zamożną panią, Wilhelminę Hierta, z zamiarem rozszerzenia zakresu pracy kobiet potrzebujących pracować na życie. Liczba samotnych staje się coraz większa, trzeba więc rozszerzyć i zakres pracy, zakres rzemiosł kobiecych, aby nie cierpiały nędzy, nie rzuciły się szalenie do tak zwanej emancypacji, która im nie daje, a odbierać musi wiele, bo najpierw cofa się od nich sympatya ogółu.

Z bieżącej chwili.

— Budżet Petersburga, ustanowiony na rok bieżący, przedstawia 9.380.000 rs. dochodu, a 9.383.000 rs. rozchodu.

— W Petersburgu przebywają trzej uczeni japońscy, pragnący się obeznać z cywilizacją europejską; znajduje się pomiędzy nimi geograf Ratazdassi. Z kolei przybędą oni do Warszawy, a następnie udadzą się do Wiednia i dalej na Zachód.

— W Październiku bieżącego roku przypada siedmiesięciopięć-letni jubileusz istnienia Instytutu Głuchoniemych, oraz półwiekowa rocznica założenia przy tej instytucji oddziału ociepleniowych.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności wyznaczyło fundusz na wydawanie bezpłatnych obiadów w cyrkule VII, VIII, IX i X, oraz w XII, na Pradze.

— Rzemieślnicy warszawscy, przejęci uczuciem wdzięczności dla ś. p. Augustowej Potockiej za jej dobroczynność, a szczególnie na wniesienie Kościoła przy ulicy Dzielnej, więc w części miasta, zamieszkaną wyłącznie przez ludność robotniczą, a także za założenie szpitalika dla dzieci, gdzie leczą się głównie dzieci ludzi ubogich, zamówili nabożeństwo żałobne za jej duszę. Odkonano je w d. 1-go Lutego o godzinie 11 w kościele po-Dominikańskim przy ulicy Freta, z udziałem cechów rzemieślniczych z właściwymi chorągiewkami.

— Nakładem Kassy Mianowskiego wyszła z druku pożyteczna książka: „Zarys nauki o publicznej ochronie zdrowia, przez niemieckiego lekarza D-ra Sander, przełożona na nasz język przez D-ra Stanisława Markiewicza. Ten sam lekarz stanął na czele komitetu, zawiązanego w celu dalszego prowadzenia kolonii letnich, pod nazwą: biura kolonii letnich. Biuro nie będzie się zajmowało wcale stroną finansową tej instytucji; zadaniem jego będzie jedynie sprawdzanie stanu zdrowia małych kandydatów, oraz stanu zamożności ich rodziców, dalej wysyłanie dzieci, określenie obowiązków dozorców, określenie trybu życia dzieci i żywienia ich na wsi, statystyka lekarska, sprawdzenie i złożenie kosztorysu komitetowi, do którego należy D-r Markiewicz wraz z trzema innymi doktorami: D-rem Tomaszewicz Dobrą, D-rem Kosmowskim i D-rem Antonim Natansonem.

— P. Alexander Kraushaar drukuje w Gazecie Sądowej bardzo zajmującą rzecz historyczną „Za-

targ Imciana Łukasza Konopki, z miastem Toruniem w 1742—1756 r.“

— Nakładem księgarni tanich wydawnictw ludowych, którą można nazywać księgarnią wydawnictw pożytecznych, wyszły świeżo dwie książeczki: „Brazylia, jej przyroda i mieszkańcy“ przez Pawła Sosnowskiego, oraz „Egiptanie ich religia i urządzenia społeczne“ opowiedział M. R. Obie te książeczki z wizerunkami, napisane dobrze, w sposób zajmujący i zrozumiały dla czytelników wspomnianej księgarni, która wypuściła już w obieg 54 takie książeczki: streszczenie i dziełka oryginalne w zakresie belletrystyki, oraz popularno-naukowe i gospodarstwu wiejskiemu poświęcone.

— W okolicach Częstochowy rozegrała się w tych czasach wzruszająca tragedia. Znajdują się tam we wsi Gnaszyn i Łojki, na gruntach włosciańskich, kopalnie kamienia węgielnego i rudy żelaznej, eksploatowane przecież przez małomiasteczkowych spekulantów, którym włoscianin nigdy się opędzić nie umie; nie było też tam odpowiedniego kierownictwa i górników należycie z zawodem swoim obeznanych. Razu jednego, gdy dwóch robotników kopano rudę, szyb w miejscu tem się zawalił, zasypując nieszczęśliwych; nikt przecież ratunku dać im nie umiał, i orzeczone, iż niewątpliwie zabitymi zostali. Przecież w kilka godzin potem, już wieczorem o godzinie 9, gospodarz z Łojek nazwiskiem Żyła, tknięty wzruszeniem litości, udał się na miejsce nieszczęścia, przyłożył ucho do ziemi i usłyszał głosy; zdawało mu się nawet, że nieszczęśliwi mówią pacierz: więc wrócił do wsi, zwołał ludzi i przy pomocy wójty gminy wsi Grabówki, Fajera, zebrałszy gromadę znaczną, 100 osób, powiódł za sobą. Kopali przy świetle pochodni z luezywa przez noc całą, potem przez cały poranek, aż do południa i dobrali się już tak głęboko, że głosy ich wezwań zostały usłyszane przez nieszczęśliwych, odpowiadających im. Drzewa podpierające szyb ułożyły się tak nad nimi, że utworzył się pewien rodzaj dachu. Jeden, młodszy, stał przecież po pas w wodzie; drugi, zostając także w pozycei stojącej, był uciskany ciężko przez dwie belki, ale najmniejsze poruszenie mogło zburzyć rodzaj dachu, który się utworzył nad nieszczęśliwymi: mogli się zatem zapaść i ci, którzy z ratunkiem śpieszyli, i już zaczęto ustępować, ale Fajer usiłował wstrzymać przestraszonych; przybył mu też z pomocą wikary miejscowy, ksiądz Bolesław Wróblewski, który, dowiedziawszy się o nieszczęściu, udał się na miejsce katastrofy i, gdy nieszczęśliwi mieli już być opuszczonymi przez tych, którzy ratunek nieśli im mogli, ksiądz oświadczył, że się spuści do nich, aby im dać ostatnią pociechę religijną, co też uczynił. Gdy przecież sam jeden nie więcej dla ich ratunku zrobić nie mógł i wyciągniętym znowu został, wzruszenie ogarnęło przytomnych i rzucano się znów do ratowania nieszczęśliwych, co udało się pomyślnie, ale nie bez wielkiego trudu. Nieszczęśliwego, który tkwił między dwiema belkami ruszyć nie było można, aż on sam podaną mu piłką przerznął bal piersi mu gniotący. Na drugi dzień ocaleni wraz z licznym tłumem ludu modlili się dziękczynnie w Częstochowie, w kościółku Św. Barbary, patronki górników.

— Konkurs ogłoszony w Anglii przez lorda Churchill'a na parę butów myśliwskich przyznał drugą nagrodę naszemu majstrowi szewskiemu I. N., zamieszkującemu na Nowej Pradze. Miał on brata w Anglii, który zawiadomił go o konkursie, radząc aby przyjął w nim udział; tak się też stało. Konkurs zgromadził 64 par butów, zpośród których pierwszą nagrodę wzięły buty Hermana Neidinga

z Nowego Yorku, drugą otrzymał I. N. 50 funtów sterlingów, to jest 500 rs.

— W Krakowskiej Akademii Umiejętności otwartą została dla użytku publicznego czytelnia, z której korzystać można od godz. 9-ej rano do 12 w południe, wieczorem od 6 do 8. Jest to rzecz wielce pożyteczna dla młodzieży uniwersyteckiej i ogółu mieszkańców. Sekretarz Akademii St. Smółka urządził czytelnię, przykładając się przez to głównie do oddania jej na użytek ogólny.

— Zgromadzenie architektów i professorów politechniki lwowskiej uchwaliło urządzenie w roku przyszłym międzynarodowej wystawy przemysłu budowlanego. Pierwsza narada w tym przedmiocie zgromadziła liczne grono osób w sali ratuszowej; urządzono, iż wystawa odbędzie się we wrześniu b. r. Przemawiał prezes T. Politechnicznego, rektor Franke, wysuwając na plan główny ten cel wystawy, aby nastreczyła miejscowym siłom sposobność obeznania się z postępem przemysłu budowlanego i zapoznała publiczność z tem, co tu powinno być pięknem, higienicznym i wygodnym. Z tego względu postanowiono otworzyć przystęp i obcom wystawcom. Na prezesa wystawy wybrano profesora politechniki, J. Zacharyewicza, na dyrektora-inżyniera Radwańskiego. Wystawa będzie miała miejsce w gmachu Politechniki.

— Wielka drożyzna mięsa i bieda między uboższą ludnością w Krakowie wywołały potrzebę szukania środków zaradczych. Komisya obradująca w tym celu uchwaliła hodowlę królików, któreby służyły jako pokarm posilny dla uboższej ludności.

— Lwowska rada miejska uchwaliła z okazji jubileuszu Antoniego Małeckiego udzielenie mu obywatelstwa honorowego, co też skutecznym zostało.

— We Lwowie otwartą zostanie w tych dniach wystawa przedmiotów przywiezionych przez ks. Pawła Sapiechę z podróży na Wschód. Długa ta podróż wiodła go przez mongolskie stepy, dalej przez Chiny i Japonię. Przywiezione okazy, posiadające niemałą wartość pieniężną, cenne są niemniej jako przedmioty artystyczne. Książę spisywał wrażenia swoje, skreślił obrazy miejsc, które przebywał i „Niwa“ rozpoczęła właśnie druk tych opisów. Dochód z wystawy lwowskiej, która jest tłumnie odwiedzana, przeznaczył książę na cel dobroczynny.

— Umarł w Ameryce, w Stanie Nowego Yorku, w miejscowości Hoosick Falls, Abbot Wood, wynalazca maszyny do szycia. Otrzymał za nią od cesarza Napoleona III krzyż legii honorowej za bytności swej w Paryżu 1866 r., a od cesarza austriackiego order Franciszka Józefa. I w ojczyźnie jego uznano również zasługę tego wynalazku, który stanął jako wielka pomoc w zakresie pracy kobiecej, tak na zarobek, jak wśród rodziny.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Omyłka**, przez R. Norrisa. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Cel życia pojęty w wychowaniu, przez M. I. — Samuel Adżai Crowther, Czarny biskup Nigru, przez S. S. Rogozińskiego. — Kobieta w XX wieku, Studium Juliusza Simona, Człon. Akad. fran. i Gustawa Simona Dok. Med. przez Alfreda Szczepańskiego (dokończenie). — Niewolnica, powieść, przez Bronisława Grabowskiego (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści, pod tytułem: **Omyłka** przez R. Norrisa. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. 16 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Teczka na papiery ozdobiona haftem.

Rycina Nr 5.

Teczka, zarówno do postawienia, jak i do zawieszania, wykonana z tektury, podług formy wskazanej na rycinie. Część zewnętrzna pokryta skórą groszkowaną koloru białego na podkładzie z waty i ozdobiona haftem wykonanym rozmaitego koloru rozpołowioną filozelą i złotą nitką, ścięciem płaskim i gałązkowym. Ściana wewnętrzna pokryta atlasem koloru poziomkowego, tylna zaś ściana atlasem bawełnianym tegoż koloru. Brzeg zewnętrzny otoczony pluszem tegoż koloru podług ryciny.

Serwetka.

Rycina Nr 6 i 15. (Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 59).

Serwetka wykonana na tkaninie lnianej, wielkości 56 centymetrów w kwadrat. Szlak podług fig. 59 odwr. str. tabl. i podług ryc. Nr 15, wykonany różnokolorową rozpołowioną filozelą ści-

giem płaskim, gałązkowym, „Janina“ i supełkowym. Wielkie liście po rogach wykonane jedwabiem niebieskim ścięciem płaskim, środkowe zaś jedwabiem ciemno-ponsowym ścięciem „Janina;“ zewnętrzne otoczenie ostatnich jedwabiem koloru czarnego a pierwszych jedwabiem koloru „vieil-or“ ścięciem gałązkowym, w środku zaś supełkowym ścięciem kolorem „vieil-or.“ Środkowe kwiaty wykonane jedwabiem ciemno-ponsowym ścięciem płaskim, otoczone są jedwabiem niebieskim. Gałązki i listki wykonać kolorem oliwkowym, żyłki zaś naprzemian jedwabiem niebieskim i ciemno-ponsowym. Figury pomiędzy temiż jedwabiem ciemno-ponsowym ścięciem płaskim, oraz jedwabiem „vieil-or“ ścięciem „Janina;“ pierwsze otoczyć jedwabiem „vieil-or“ a drugie czarnym. Małe listeczki po rogach kolorem ciemno-ponsowym i lososiowym. Tegoż koloru jedwabiami wykonać ścięciem „Janina;“ podług ryc. Nr 15, drobne kwiatki kolorem oliwkowym a listki i zewnętrzny brzeg szlaku, otoczenie oraz gałązki jedwabiem czarnym. Rzędy wykonane ścięciem płaskim jedwabiem niebieskim, a wykonane ścięciem gałązkowym jedwabiem „vieil-or.“

Serwetka otoczona szlakiem wykonanym szydełkiem.

Rycina Nr 7.

Serwetka z sukna koloru poziomkowego, otoczona szlakiem wykonanym krętą bawełną „roco-co“ w kolorach: brązowym, ciemno-poziomkowym i dwoma cieniami koloru zielono-popielatego, oraz podwójną nitką złotą japońską. Szlak ten złożony jest z pojedynczych pierścieni rozmaitej wielkości, łączonych z sobą ścięciem łańcuszkowym i z grełotek, wykonanych słupkami okręcanymi. Wielkie narożne pierścienie rozpocząć na założeniu oczek 14 centymetrów długości brązową bawełną, zamknąć 1 ścis. łańcuszk. ocz. i wykonać: — 1 kolej: 68 ścisłych oczek i 1 ścisłe łańcuszkowe oczko w 1 ścisłe oczko. — 2 kolej: robotę odwrócić i na poprzednich oczkach ciągle 1 ścisłe oczko w tylną żyłkę każdego oczka, następnie 1 ścisłe łańcuszk. oczko w 1 ścis. łań. ocz. — 3 kolej: Robotę odwrócić podw. japoń. złotą nitką ciągle 1 śc. o. w tylną żyłkę każdego o., następnie 1 śc. o. w 1 ścis. ocz. Znajdujące się pierścienie po bokach wykonać bawełną ciemno-zieloną popielatą na założeniu ocz. 12 centymetrów długości.

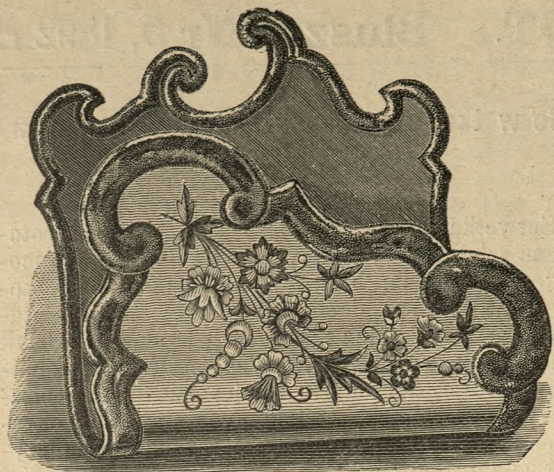


Nr 1. Ubranie dla chłopczyka od 14—16 lat. (Krój pierwsza strona tablicy Nr I, koloru pupie -10). zezu Nr 4.

Nr 2. Szlafroczek z materyału „lama“ i atlasu „merveilleux.“ (Krój odwrotna strona tablicy Nr VII, fig. 44—50). Opis w Bluszczu Nr 4.

Nr 3. Sukienka dla panienki od 9 — 11 lat. (Krój pierwsza strona tablicy Nr II, fig. 11—17). Opis w Bluszczu Nr 4.

Nr 4. Ubranie dla chłopczyka od 3 — 5 lat. (Krój pierwsza strona tablicy Nr III, fig. 18—26). Opis w Bluszczu Nr 4.



Nr 5. Teczka na papiery ozdobiona haftem.

z piór. Tylne części spódnicy nieco powłóczyta, ozdobiona piórami z prawego boku.

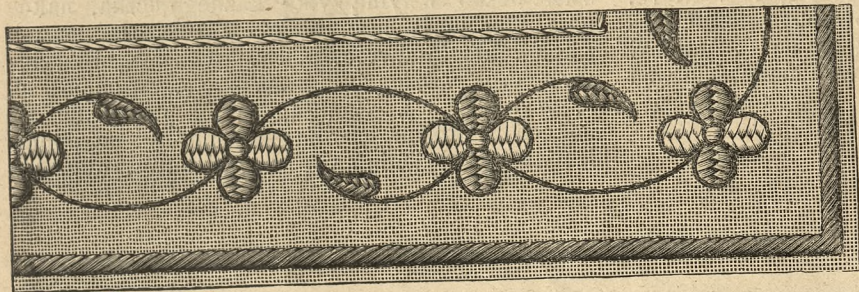
Sukienka dla małego dziecka.

Rycina Nr 9.

Sukienka z „surah“ koloru różowego, ozdobiona koronką haftowaną. Staniczek w formie bluzki z zaokrąglonym karczkiem, pokrytym sześcioma zębami koronkowymi. Spódniczka marszczona, przybrana odpowiednią koronką. Rękawki bufiaste również przybrane koronką.

Suknia wizytowa z bengaliny.

Rycina Nr 10.



Nr 6. Szlak do serwetki Nr 15 (wielkość oryginalna).

Dwa następne bawełną koloru poziomkowego na założeniu 10 centymetrów długości. Najmniejsze zaś na założeniu 8 centymetrów długości bawełną jasno - zieloną popielatą. Przed rozpoczęciem założenia każdego pierścienia, należy założenie przed zamknięciem przewlec przez następny pierścień, oprócz dwóch najmniejszych, które są spojęne jak wskazuje rycina. Po wykończeniu należy przyszyć do sukna i sukno odpowiednio po brzegach powyćinać. Na każdy grełotek zamknąć 5 powietrznych oczek 1 ściśnięciem łańcuszkowym oczkiem i wykonać 8 słupków 10 razy okręcających. Górne żyłki tychże wszystkie razem przerobić, i przyszywać do brzegów serwetki podług ryciny.

Suknia z sukna i aksamitu w paski.

Rycina Nr 8.

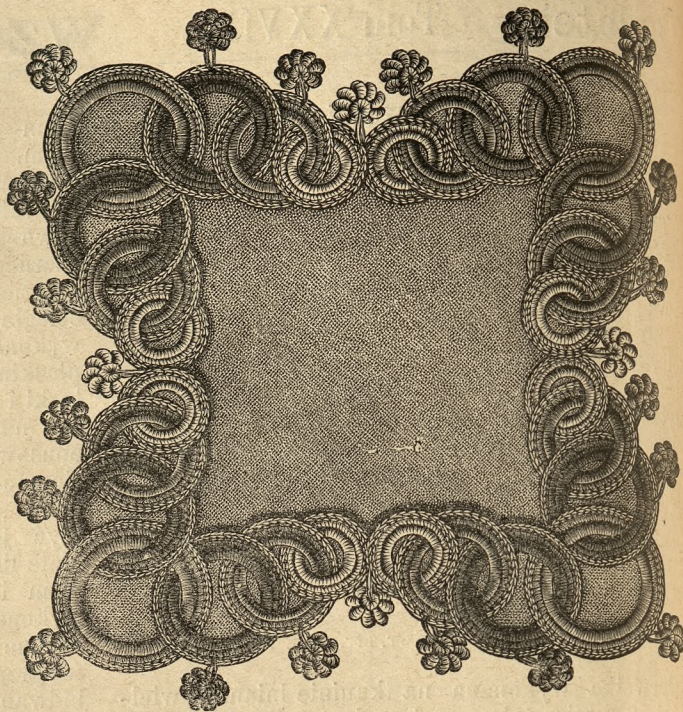
Suknia z sukna koloru „bège“ i z aksamitu w paski tegoż koloru i „loutre“ ozdobiona piórami tegoż koloru. Stanik z sukna w rodzaju bluzki wolnej w przedniej części i wiecietej w plecach, spięty od boków paskiem fantazyjnym. Baskina marszczona, skrajana oddzielnie. Napierśnik z aksamitu w paski. Rękawy bufiaste wysoko wzniesione z sukna, dolna zaś część z aksamitu bardzo obcisła. Kołnierzyk stojący z aksamitu. Spódnica z aksamitu ozdobiona z przodu rodzajem draperii fartuszkowej, wzniesionej na prawym boku i otoczonej szlakiem



Nr 8. Suknia z sukna i aksamitu w paski.

Nr 9. Sukienka dla małego dziecka.

Nr 10. Suknia wizytowa z bengaliny.



Nr 7. Serwetka otoczona szlakiem wykonanym szydełkiem.

Suknia z bengaliny koloru popielatego, ozdobiona aksamitem tegoż koloru ciemniejszym, oraz haftem, wykonana formą „princesse“, zupełnie płaska, spięta na ramieniu lewym i na tymże boczku. Falbana z aksamitu tworzy rodzaj berty. Plecy zupełnie gładkie pokryte haftem, który z przodu tworzy mały staniczek „figaro“. Rękawy płaskie z dwoma falbanami aksamitnymi w górze a w części dolnej wykończone haftem w szpic. Kołnier prosty stojący, zaokrąglony nieco z przodu i otoczony wypustką z piór. Spódnica gładka, ozdobiona haftem w dolnej części, roztwarta na lewym boku na klinie z aksamitu gładkiego. Trzy falbany aksamitne zdobią tylną część spódnicy.

Kapelusz ze złotej koronki

Rycina Nr 11.

Kapelusz w kształcie koronki, wykonany z koronki haftowanej złotej. Otoczony szlakiem futra koloru „blonde“, i dwoma piórami wpiętymi na wierzchołku. Końce do wiązania z aksamitu koloru „loutre“.

Kapelusz z aksamitu.

Rycina Nr 12.

Kapelusz w kształcie kapotki z aksamitu koloru blado-niebieskiego. Główna marszczona a brzeg ułożony „en coquille“. Pęk piór czarnych, związanych kokardą z aksamitu zdobi przednią część kapotki, tylną zaś kokarda aksamitna niebieska. Końce do wiązania na boku z aksamitnej czarnej wstążki.

Suknia wizytowa.

Rycina Nr 13.

Spódnica zupełnie płaska „fourreau“ z atlasu i materiału jedwabnego koloru jaspisowego w paski koloru oliwkowego. Stanik tak zwany „directoire“, fałdowany i krzyżowany z materiału jedwabnego jaspisowego, ozdobiony napierśnikiem z czarnej haftowanej koronki. Szeroki pasek układany w fałdy z atlasu koloru oliwkowego, związany z boku. Rękawy z jedwabiu



Nr 11. Kapelusz ze złotej koronki.



Nr 12. Kapelusz z aksamitu.

jaspisowego wysoko wzniesione na ramieniu i zakończone w dolnej części mankietami szerokimi z czarnej koronki. Kapotka z filcu koloru „ivoire“ otoczona szlakiem z piór koloru oliwkowego i ozdobiona tegoż koloru egretą. Rękawiczki „gris perle“ z kozłowej skóry.

Plaszcz „Henryk II.“

Rycina Nr 12.

Plaszcz z materiału jedwabnego „fille“ koloru „héliotrope“, przepięty w pasie paskiem tego samego materiału, spiętym na kłamrę srebrną wysadzaną perłami. Pelerynka z pluszu jedwabnego koloru „héliotrope“ wszyta w koltierz z atłasu haftowanego i otoczona wąską plisowaną falbanką z atłasu „héliotrope“. Riasza z atłasu tegoż koloru. Toczyk „Henryk II.“ z aksamitu koloru „héliotrope“, przybrany piórami tegoż koloru. Rękawiczki ze skóry kozłowej „gris perle“. Pelerynkę wyżej opisaną można nosić oddzielnie na wiosnę.

Suknia z materiału wełnianego w deseń i z aksamitu.

Rycina Nr 5 i 8 w Bl. Nr 6.

Suknia z materiału koloru popielatego



Nr 13. Suknia wizytowa



Nr 14. Plaszcz „Henryk II.“

włochatego w deseń brązowego ciemnego koloru, oraz z aksamitu brązowego ozdobionego haftem maszynowym, wykonanym złotem i jedwabiem.

Suknia z materiału wełnianego gładkiego i haftowanego.

Rycina Nr 6 i 7 w Bl. Nr 6.

Suknia z materiału koloru „héliotrop“, złożona z wetmanu i spódnicy. Spódnica przybrana po bokach aksamitem tegoż koloru, ale nieco ciemniejszym, który zdobi również stanik podług ryc. i dolny brzeg rękawów.

Żabot z wstążki i koronki.

Rycina Nr 9 w Bl. Nr 6.

Górna część ułożona z wstążki jedwabnej koloru różowego, ułożona w fałdy podługne. Otoczenie z koronki białej 12 cent. szerokości a 28 cent. długości. Kokardy ze wstążki wykonują całość podług ryc.

Naszyjnik ze wstążki.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 6.

Naszyjnik wykonany ze wstążki koloru seledynowego 6 cent. szerok. Górny brzeg

wyłożony w kształcie kołnierzyka na 2 centim. szer., zapięcie pokryte rozetą wykonaną z tejże wstążki.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 6.

Foremka z petynетки 15 cent. długości a 13 cent. szerokości, nieco zaokrąglona, otoczona drucikiem i objęta wstążeczką niebieską, w tylnym brzegu tworzy w środku fałdę na 2 centymetry głębokości. Koronka 15 centymetrów szerokości a 150 centymetrów długości ułożona podług ryc. Pukle z wstążki niebieskiej 2 cent. szerokości wykończają całość.

Naszyjnik ze wstążki.

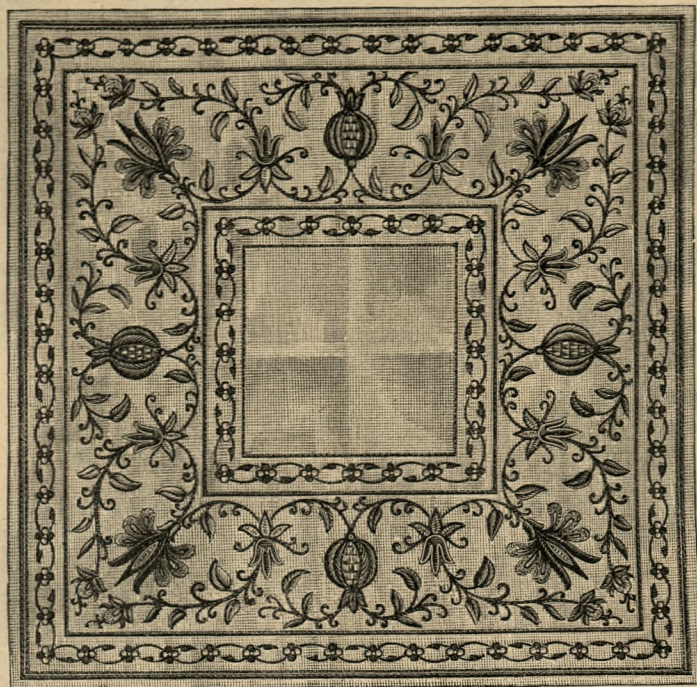
Rycina Nr 15 w Bl. Nr 6.

Naszyjnik ze wstążki koloru ponsowego, ułożony podług ryciny na opasce z tejże wstążki zwężanej ku bokom a w części tylnej 3 centymetry szerokości. Rüsza ułożona wężykowato, z tyłu ma szerokości 11 centymetrów, z przodu zaś 3 centymetry, związana wstążką 100 centymetrów długości.

Sposoby czesania włosów.

Rycina Nr 31—33 w Bl. Nr 6.

Główną zasadą obecnego czesania jest pozostawienie widoczne kształtu głowy,



Nr 15. Serwetka, haft bułgarski (do ryc. Nr 6).
Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 59.

jak to wskazują przedstawione ryciny. W ogóle jak najmniej wszelkich dodatków. Włosy nad czołem fryzowane lekko i ułożone według wymagań rysów i twarzy.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa neapolitańska.
2. Paszteciki w naleśnikach.
3. Polędwica z maderą i trufkami.
4. Szpinak suszony z omletem.
5. Jarzabki z kompotem.
6. Krem waniliowy.

U w a g a.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze 3 i 4 „Bluszczy” służy też do N-ru dzisiejszego.



Nr 16. Deseń na haft wykonany robotą krzyżową na pokrycie foteli, poduszek i t.p.
■ pierwszy najciemniejszy, niebieski, ■ drugi jaśniejszy, ■ trzeci najjaśniejszy niebieski, ■ ciemno-brązowy, ■ jasno-brązowy, ■ żółty okr., ■ śmietankowy, ■ ciemno-oliwkowy, ■ jasno-oliwkowy, ■ pierwszy ciemny seledynowy, ■ drugi jaśniejszy, ■ trzeci najjaśniejszy seledynowy, ■ ciemno-ponsowy, ■ jasno-ponsowy, ■ tło.

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

Karnawał.—Kolacje.—Zastawa stołu podług ostatnich wymagań mody.—Najmodniejsze filiżanki do herbaty. — Kiedy ostatecznie należy spotrzebować zwierzynę. — Praktyczne użytkowanie różnych deserowych rzeczy.

A więc bawimy się! boć niepodobna zabronić młodzieży używania młodości, niestety, tak prędko przemijającej.

Zapytywano mnie, ile półmisek trzeba przygotować na pewną liczbę gości, nadmieniam zatem, że jeden półmisek pełen, co znaczy: cała polędwica, cielęcina, indyk, szynka od 12-sto lub 15-stu-funtowa, lub ryba 8-mio do 10-ciu funtów liczy się na 10 osób bardzo dostatnio. Doszliśmy nareszcie do dojrzałości praktycznej pod względem gastronomicznym, i tak: dawniej obiad proszony składał się z siedmiu potraw, dziś najwykwintniejszy liczy pięć, oprócz deseru i przekąsek przedobiadowych. Z tej samej przyczyny i kolacje zmniejszono, tylko na wielkich tańczących balach ukazują się 2 dania, oprócz trzeciego słodkiego. Na mniej licznych zebraniach, oprócz obfitych przekąsek podają jedno gorące danie, coś słodkiego, ser i owoce, które to ostatnie z powodu silnych mrozów redukują się do winogron i jabłek; owej obfitości już prawie słodkich pomarańcz, które nasycaliśmy się w lutym a nawet w końcu stycznia dotąd nie widać. Bardzo właściwym byłby powrót do dawnych zwyczajów ojców naszych, gdzie przy skromnym przyjęciu bawiono się daleko ochocej i serdeczniej, a nawet hygieniczniej, zaczynano bowiem zabawę o 7 a kończono zaraz po północy. Na ten nieszczęśliwy zwyczaj późnego zbierania się niema innego sposobu, tylko kazać podać wieczerzę jak można najwcześniej, to jest najpóźniej o północy, goście zauważwszy dążenie gospodarstwa do wcześniejszego zakończenia zabawy, zaczynają się wcześniej zbierać. Wracając do estetycznej strony podanej wieczerzy, nieraz zauważyłam, iż nakrycie stołu młode gospoście uważają za rzecz bardzo zwyczajną, a jednak nie jest to rzeczą tak prostą, jakby się zdawać mogło, choćby dla tego, że i tu moda postawiła swoje warunki, o których się nie śniło naszym prababkom. Z zasady idzie o to, aby zastawa robiła ogólnie miłe wrażenie, nie powinna być pozbawiona przyborów, ale i nadmiar tychże, szczególnie przy małych stołach, psuje harmonję ogólną. Najlepiej używać stołów z wysuwaniem deskami, przy wielkiej zaś liczbie osób, wąskich z desek pojedynczych, ale wtedy już o piękności zastawy trudno myśleć, bo i tak będzie pełno, jeżeli umieszczą się konieczne dla wygody każdego gościa przybory. Mając stół wysuwany a pokój jadalny niewielki, należy go ustawić ukośnie wzdłuż, zyskuje się wtedy i miejsce i wygoda dla służby do roznoszenia półmisek. Szerokość stołu powinna wynosić 118 cen. a nakrycia powinny następować po sobie w odstepie 64 do 70 c.; przedewszystkiem należy unikać przy stole sztuku i ha-

łasu, i dla tego w Anglii mają ten dobry zwyczaj podkładania pod obrus wołoku lub grubej serwety angielskiej, która miękkością swą przygłusza szczeń sztuców i stawianego na stole szkła i porcelany. Cienki niciany obrus powinien leżeć gładko bez żadnej fałdki i załamka i spadać naokoło stołu najmniej na pół łokcia. Po rozpostarceniu obrusa poustawiać przez środek wzdłuż ozdoby stołu, jakie kto ma, patery z owocami, małe porcelanowe żardinierki ze świeżemi lub wreszcie sztucznemi kwiatami, gierydony z cukrami lub cukrowanemi owocami, kandelabry i t. p. Sam środek stołu powinna zajmować najokazalsza ozdoba np. wysoka srebrna patera z owocami podłożonemi winogronowemi, lub wreszcie innemi zielonemi liśćmi, pierwsze można bardzo długo włożone w skrzynce przechować w wilgotnej piwnicy. Salaterki z kompotami, koszyeczki z chlebem i serwisy z octem i t. d. nie stawia się już na stole, bo i tak zwykle za daleko sięgać, aby je kto używał, powinny stać na bocznym stole a służba w razie potrzeby podaje, kompoty zaś obnosi wraz z salata i pieczysem. Stosownie do ilości służby, jaką się ma do rozporządzenia, stawia się po jednym lub po dwa talerze, z prawej strony na podstawie nóż, widelec i łyżka, przed podstawką zaś między dwoma nakryciami mała kryształowa solniczka, naturalnie z solą kryształiczną tłuczoną i przesianą przez gęste sitko zamiast zagranicznej; przed talerzami szklaneczki i różnej wielkości a można nawet i koloru kieliszki. Z lewej strony mały talerzyk z łyżeczką do kompotu. Na talerzach ułożyć zręcznie zgiętą serwetę, w którą lub pod którą włożyć kawałek pszennego i kawałek żytniego chleba. Wino stawia się otworzone, zatłukane kryształowemi korkami w pewnych odstępach dwóch lub trzech osób białe i czerwone, rachując butelkę na dwie osoby. Ostatecznie bardzo zdołają stół tak zwane „menu“ kolacyi, które dziś illustrowane po bajecznie taniej cenie dostać można w panna Schustra na okólniku hr. Krasińskiego na Sewerynowie. Dobrze jest także porzucać kartki z nazwiskami osób, rozmieszczając względnie obok siebie sympatyzujące osobistości. Najmodniejsze dziś filiżanki do herbaty są szklane paskie, gładkie zupełnie, niezbyt duże z taką samą miseczką. Moda ta zadawalnia wszelkie gusta i wymagania, bo daje oku przyjemność tak poszukiwaną patrzenia na śliczny kolor i klarowność aromatycznego napoju.

Jeszcze jeden ważny i bardzo estetyczny sekret co do karnawałowych przyjęć powiem paniom. Spotyka się na eleganckich stołach lody lub kremy na kryształowych podstawach lub koszach podawane. Otóż te podstawy są chwilowe, zrobione z czystego lodu, o który dziś podczas tak srogiej zimy, bardzo łatwo. Wziąć bryłę lodu wielkości stosownie do potrzeby, obciąsać ją tasakiem, nadając formę podstawy, następnie rozgrzać w ogniu prawie do czerwoności żelazny stary gruby nóż i tym gorącym nożem wycinać, czyli rzeźbić na tej podstawie różne desenie w miarę umiejętności rysowniczej i inteligencji osoby, zajmującej się tem.

Bardzo ważną zdobyłam wiadomość od fachowego myśliwego. Wiemy, iż w zimie, a szczególnie podczas silnych mrozów można bardzo długo

przechować zwierzynę w skórce wiszącą. Zapytana przez kogoś, jaki jest jednak ostateczny termin tego przechowania, udałam się do kompetentnego znawcy, który mi objaśnił, że terminu oznaczyć niepodobna, bo rzadko kiedy możemy wiedzieć, kiedy zając czy sarna zostały zabite, otóż choćby wisiały w mrozie, gdy przychodzi ostateczny czas użycia, to jest przepowiednia psucia się, w miejscu gdzie były postrzelone krew czyli rana zaczyna się pokrywać wilgocią, pomimo mrozu, wtedy należy zaraz skórę ściągnąć i albo użyć, albo zamarynować.

Kończąc dzisiejszą pogawędkę, dodam jeszcze, że ze znajdujących się w domu często rzeczy pozostałych, jako to bakalii ze świąt zeschniętych, można zrobić użytek. Ja w tym roku zrobiłam z tych poświęconych pozostałości mazurek bakalajowy i wódkę bakalajową.

Innym razem miałam słoik z cukrzatego ananasu, ananasu wprawdzie było tylko parę kawałków, ale słoik był cały obłożony z cukrzatym ananosem syropem, wlałam więc do pełna wody, rozpuściłam „au bain marie“, wstawiając w rondel z zimną wodą, a następnie dołożywszy cukru, cytryny, araku i żelatyny zrobiłam wyborną, ale to wyborną galaretę ananasową. Można to zastosować do malin, porzeczek, brzoskwiń lub moreli z cukrzatych.

L. C.

Przeciwko gęsim chimerom.

Każdy, zajmujący się chowem gęsi, miał sposobność poznać liczne ich grymasy, niewytłumaczone fantazyje, gdy chodzi o założenie gniazda, dla wyprowadzenia nowej generacyi.

Gęś, jako ptak wodny, mniej został udomowiony, niż inne ptactwo użytkowe, gdyż warunki kurnikowe nie mogą zadawalniać ich potrzeb naturalnych.

Gęsi nawet stare z wyrobioną opinią, opartą na pocziwem ich postępowaniu lat poprzednich, bez żadnej widocznej przyczyny, ciężko nieraz nas zawodzą.

Komuż przy chowie gęsi na większą skalę, smutny ten obraz nie jest znany? Śadzi się kilka gęsi, dobrze już wyniesionych, ściele im się gniazda, uwzględniając ich gusta osobiste, prawie, że radząc się każdej z osobna o jej osobiste widzi mi się. Zdają się zadowolnione, obejmują w posiadanie swe gniazda, jeszcze tu i owdzie coś poprawią i ku wielkiej, a naiwnej naszej radości, obsiadają jaja.

Rozpoczyna się grzanie prawidłowe, trwa ono czasem tydzień, dziesięć dni i dłużej, a gęsi zachowują się jaknajbardziej przejęte swojemi obowiązkami, siedzą pokornie i cicho. Tymczasem ni ztąd, ni zowąd, dają się słyszeć zrazu cichutkie narady, powoli drugiego, lub trzeciego dnia stają się głośniejsze, nareszcie agitacya przechodzi w wyraźny bunt. Naraz wstają najnatural-

niej w świecie, trzepią skrzydłami, gładzą sobie pióra dziobem, i jakby nigdy nie podnosząc wysoko głowy, idą prosto przed siebie, gdzie ich oczy poniosą, głuche już wtedy na wszelkie perswazyje, żadnemu przymusowi nie podlegając. Harda miną wyraźnie mówią do siebie: „dosyć już tej komedii“, to nie dla nas!

Cała wygrana, jeżeli ktoś zorientuje się szybko, sam ratuje pozycję, gęsi wypuści na wolność, przestając liczyć na ich upamiętanie się, które nigdy nie nastąpi.

Każdej wiosny odbieram liczne pytania, jak sobie radzić z gęsiami, wypowiadającymi posłuszeństwo w chwili najniebezpieczniejszej dla legu.

Zeby usunąć pracę swą z pod gęsiej zależności, zaprowadziłam u siebie znaczną ilość kur, specjalnie do tego celu, Złotych Kochinów i tym przeważnie wylęg powierzam, i za pomocą nich otrzymuję tak wczesne gęsi, jakich nigdy nasadki gęsi dostarczyłyby mi nie mogły.

Posadzana jestem często o jakieś tajemne *sekreta gospodarskie*, którym zawdzięczam wczesność gęsi. Sekretem tym z największą przyjemnością z każdym się podzielię, kogo tylko ten dział chowu obchodzi. Złote Kochiny — to jedyny mój *exorcyzm*, jedyna moja broń, którą zwalczam wszystkie gęsie wybryki, a manipulacja jest następująca:

Pierwsze jaja gęsie, dwa lub trzy od każdej, przypuszczam w ilości 28, sadzę je natychmiast, nie czekając starzenia się jaj (co wpływa ujemnie i na wylęg i na wychów), czyli nie czekam aż gęś zachce siedzieć, ale sadzę jaja zaraz z pierwszego tygodnia początkowego niesienia. Czterem Złotym Kochinom (już wtedy po pierwszym wyniesieniu) daję po 7 wielkich jaj Tuluskich albo Emdeńskich.

Ten najpierwszy wylęg przeznaczam na odnowienie własnego sztam, że bywa bardzo wczesny, najczęściej w Lutym, więc też wylęgnięte gąsięta w Marcu nie cierpią na tem, iż ich wielka, o tustem pierzu kura wodzi, a nie gęś, gdyż wtedy i tak pora za zimna dla pływania po wodzie, często będącej jeszcze pod lodem.

Gdy gęsi zatem w najlepsze się niosą, kury już obsiadają jaja, z tą wrodzoną ich gatunkowi gorliwością.

W tygodniu później, podobną partję jaj, najczęściej większą, gdyż gęsi powoli już wchodzi w epokę silniejszego niesienia się, znów jak poprzednio, poddaję Złotym Kochinom do legu.

Na trzeci tydzień tę samą czynność powtarzam. Na czwarty, gdy która gęś z mniej nieśnych zachce siedzieć, sadzę ją, dodając do pomocy 4 lub 5 kur Zł. Koch. Gęś otrzymuje od 10 do 12 jaj, kura od 7 do 8.

Następnie póty sadzę łącznie gęsi z kurami, póki niesienie trwa, ale ilość sadzonych gęsi w stosunku do kur bywa różna, zależnie to od: ilości zniesionych jaj, gęsi chcących siedzieć i t. d.

Pisklęta z tych kuro-gęsiech legów, jakiś czas pozostają pod swojemi własnymi matkami, po tygodniowym wzmocnieniu się, częściowo przechodzą pod gęś, której, jako naturalniejszej opiekunce, mogącej prowadzić na wodę, powierza się wychów całego gniazda, czyli całą partję gąsiąt, w jednym czasie wylęgłych.

Miałam Kochiny Złote, które wylęgły mi w jednym roku: gęsi, kaczki, indyki, i późną jesienią kurczęta, wodząc je do połowy zimy. A że w odstępach wolnych od siedzenia dawały jaja, powierzałam innym kurom do wylęgu, zapelniały mi swoją drogą kurniki przesłiznym potomstwem, przeznaczonem znów gęsiom do pomocy.

Postępowaniem wyżej opisanem zapewniam sobie 1-o: wczesność gąsiąt, bez uszczerbku dla nośności stadnych gęsi; 2-o podsadzanie jaj zawsze świeżych, co za mało bywa u nas na uwadze, a jednak należy koniecznie raz uwierzyć, iż to kwestya kardynalna szczęśliwego wylęgu i siły odpornej przeciwko chorobom piskląt; 3-o mając taki materiał w ręku, jakim są kury Kochiny Złote, nigdy nie jestem na łasce gęsi, nie one mną rządzą, ale ja nimi. Skoro pierwsze objawy niesforności gęsiej dają się spostrzedz, nie czeka się zdeklarowania buntu, co dzieje się najczęściej kosztem zepsucia jaj, ubiega się wypad-

ki, bez ceremonii, wyprowadza się z gniazda niewytrwałą wicherzycielkę, albo wicherzycielki, a jaja póki nie przechodziły na przemian studzenia i ogrzewania, rozdziela się pod kury. Kwestya w ten sposób załatwiona jest gładko i bez żadnej szkody.

Okolicznością również bardzo ważną, przemaszającą za wprowadzeniem Złotych Kochinów do hodowli gęsi na większą skalę, jest usunięcie racy wymagania od gęsi chęci wczesnego siedzenia, która przecież musi odbyć się kosztem nośności, czyli, że złe konieczne przy wczesności gęsiej, jaką jest mała produkcyja jaj, przy współudziale kur Złot. Koch. może nie istnieć. Starając się i wytwarzając gatunek wcześniej siedzących gęsi, to to samo, co starać się o zmniejszenie ilości jaj, czyli pracować nad obniżeniem stopy procentu do posiadanego kapitału.

Gęś to nie kura, co niesie się z małemi przzerwami prawie cały rok, czego nie zniesie z wczesnej wiosny, to dołoży i później, ale gęś darzy nas jajami tylko raz do roku z wiosną, wtedy następują całym szeregiem jedno za drugim aż do wyczerpania wszystkich związków, zależnych od płodności gatunku; staraniem zatem powinno być naszym, o ile można, wyzyskać ten peryod, gdy pragniemy hodowlę oprzeć na rachunku.

Jeżeli hodujemy gęsi, które, jak zwykle bywa u krajowych, znoszą jaj od 6 do 12, czemże ta gęś całoroczne żywienie opłaci? Gęś zaś uszlachetniana w racjonalnej hodowli, jak np. Emdeńska albo Tulowska, dająca od 25 do 50 jaj, tą wielką nośnością pozwala nam przeznaczyć na sztam całoroczny cztery razy mniejszą liczbę gęsi, niż tych, mało nośnych, a wcześniej siedzących.

Żywienie kury przez cały rok może nie być uważane za ciężar, gdyż mniej lub więcej, ale zawsze płaci jeszcze jajami — ale gęś, po dawnemu traktowana, ceniona jedynie z punktu jej wczesności, czyli jej nieplodności, jest dotkliwym ciężarem kurnikowym, pochłaniającym wszelki możliwy z gęsi dochód.

Mając kilka gatunków kur do dyspozycji, próbowałam prawie wszystkie, jedno tylko Złote Kochiny nigdy nie zawiodły i nie wyczerpując siebie, oddają rzeczywistą przysługę pomocniczą w wychowie gąsiąt, gdyż żaden gatunek tej wagi i tak silnego a tustego opierzenia, nie posiada koniecznego do wylęgu jaj gęsiech, a przytem tak łatwo obudzającej się skłonności do wytrwałego i dziwnie umiejętnego siedzenia.

Zdarzało się, iż na razie nie miałam dostatecznej ilości kur grzejących do nasadzenia na jajach gęsiech, brałam wtedy Złotą Kochinę nie wyniesioną jeszcze z całem zaufaniem, że potrafi się zastosować bądź co bądź do mego życzenia. Sadzałam na jajach choćby już ogrzewanych poprzednio, ta, bez wahania i namysłu obsiadała je natychmiast, następnie zniosła jeszcze na gnieździe dwa lub trzy jaja, które codziennie się usuwało.

Przytaczam powyższą okoliczność, jako przykład, w jakim stopniu można liczyć na ten gatunek kur w pracy wylęgowej.

Komu zatem dokuczył gęsi despotyzm, niech zawsze sojusz ze Złotemi Kochinami, a zapanuje swobodnie nad tym chimerycznym rodem.

To jest jedyny środek, którym sama od lat wielu się posługuję i drugim doradzać mogę, przy czem przypominam, iż poważniejsze badanie hodowli na zawsze i we wszystkich wypadkach usuwa drobne sposobiaki przymusu osobistego zwierząt, które pozornie na razie pomagają, lecz w rezultacie prędzej, czy później, na złe wychodzą hodowcy.

Izabella Rys.

Pierze i puch gęsi.

Pierze otrzymuje się od żywych i od bitych gęsi. Wyróżnić należy pióra od lotu; puch, który jest najdelikatniejszym porostem skóry, a w końcu pierze pokrywające puch. Pióra do lotu służą do pisania i rysowania, z drobniejszych zaś

wyrabiają wykałaczkę do zębów. Puch, oraz pierze, czy to mieszane, czy każde oddzielnie dostarczają pościeli, pierzynek, poduszek i t. p.

Dobroć pierza zależy głównie od pokarmu i umiejętnego pielęgnowania gęsi. Najlepszego pierza dostarczają gęsi, mające pod dostatkiem płynącej wody, i dla tego to w ogóle poszukiwanem jest pierze od gęsi młyńskich, a zwłaszcza zbierane z gęsi żywych — pierze otrzymywane z gęsi bitych, o wiele ustępuje pierwszemu w elastyczności. Z tego to powodu dobrze jest podskubywać gęsi podczas lata, co bynajmniej nie jest męceniem zwierzęcia, jak to wiele osób utrzymuje, gęś wyskubuje sobie bowiem sama pierze pokrywające żołądek a to dla usłania wygodnego i miękkiego gniazdka dla jaj i piskląt. Najwłaściwszą porę do skubania gęsi wskazuje sama natura, to jest chwila, w której pierze zaczyna samo wypadać i przy czyszczeniu rozlatywać się na wszystkie strony. Wówczas to bez najmniejszego bólu dają się pierze zdejmować. Gdyby zaś pióra okazały się nie zupełnie dojrzałe, o czem przekonywa krew w szypułkach, w takim razie należy skubanie odłożyć na czas jakiś.

Gęś tuczona do bicia wydaje rocznie 130—140 gr. pierza a 40—50 gr. puchu. Gęś zaś podskubwana 250—300 gr. pierza a 130—150 puchu, naturalnie zależy to również od wielkości gęsi, która czasem wydaje $\frac{1}{3}$ pierza więcej.

Gęsi powinny być skubane na wiosnę w lecie i na jesieni co 8 tygodni na piersiach, pod brzuchem i pod skrzydłami. W lecie można pierze zupełnie wyskubać a tylko w razie chłodnej pory, pozostawiać pierze po nad puchem. Niektórzy dla obfitszego nowego porostu piór, smarują skórę spirytusem albo octem; jest to środek zupełnie niepotrzebny, bo dobre i obfite pożywienie gęsi daleko skuteczniejszy w tym celu wpływ wywiera.

Młodą gąskę, po raz pierwszy skubać można, gdy już jest zupełnie opierzona i pióra ma dojrzałe, a skrzydła krzyżują się po nad ogonem. Gąsiory należy skubać co 8 tygodni, przeznaczane do chowu, przestać skubać około Listopada.

Doświadczenie dowiodło, że skubanie gęsi nie sprzyja niesieniu jaj, ale w zamian wywołuje obfity porost piór i puchu, dla tego też, gęsi przeznaczone do chowu należy tu wyłączyć, bo one same ścieląc sobie gniazdo, potrzebują pierza i takowe wyrwywają sobie z ciała.

Gęś zabita, należy oskubać póki jeszcze ciepła, ażeby pierze jak najmniej straciło na elastyczności. Przedewszystkiem, powyrwywać pióra z karku lotne i ogonowe i uważać, ażeby nie uszkodzić skóry. Chcąc oddzielić puch, który stanowi jakby wełnianą powłokę skóry, trzeba leciutko wyskubać pokrywające go pierze, a następnie dopiero puch.

Obiad na Niedzielę.

1. Purée z pomidorów z grzankami.
2. Paszteciki ze szpiku.
3. Sztuka mięsa „à la Radecki“.
4. Pasztet z zająca na gorąco.
5. Kapłon z kompotem.
6. Tort hiszpański.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani Szan... Zdrńska Wola.

Zawsze początkowo przy smarzeniu pączków lub faworków szmalec się burzy, dla uniknięcia tego wlać w gorący już szmalec zwyczajny kieliszek od wina spirytusu lub araku. Oszczędniejsi rzucają surowy kartofel dla odebrania mu odoru przykrego.

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

Chleb z mąką grochową.—Ceny chleba i lodów u Lours'a.—
Bułki Kropiwnickiego.— Praktyczna nauka gospodarstwa
dla pań.—Paliwo w ogólności i możliwa oszczędność w pa-
leniu węgla.

Kwestya paląca gospodarczą jest dziś brak chleba klasy pracującej. Że nam go nigdy nie zabraknie, więc myśl nasza nie biegnie do chałupy i poddaszy, gdzie głód dokucza. Pamiętam w 1847 roku chleb był po 5 kop. funt i wszyscyśmy za głowę się brali, by pomagać tym nieszczęśliwym, co nie mając mięsa, płacili tak drogo chleb: mieszkaliśmy wtedy na wsi i tam zaprowadzono mnie do chałupy, gdzie dziad z wnuczką sami jako wyrobnicy mieszkali, i o zgrozo! jadali parzone siekane zielsko, osypane otrębami, i to rzadko kiedy z solą, popuchli też oboje, i gdy kazano im iść do dworu dla odżywienia się, nie mogli odrazu jeść pożywnej strawy, ledwie zwolna musiałam ich do niej przyzwyczajać, od tego czasu nie wiem dla czego, ale choć i w latach, gdy się żyto obrodziło, nigdy taniej nad 3½ lub 4 kopiejki chleba nie sprzedawano, pytam dla czego? czy dla tego, jak mi przedstawiciel cukierni Lours'a pan Zamboni odpowiedział na pytanie, dla czego lody, gdy po zimie bezlodowej podróżowały, zostały nadal w cenie 20 kop. za porcję? „bo się publiczność do tej ceny przyzwyczaiła.“ Wprawdzie są to jedyne lody, które się stanowczo wyróżniają od innych, ale my byśmy się łatwo przyzwyczaili wrócić do pierwotnej ceny! Przy chlebie jeszcze by to łatwiej poszło, bo chleb jest potrzebą ogółu, trzeba więc myśleć i radzić na to. Przed kilkoma laty na tem miejscu pisałam o pożywności grochu a w szczególności bobu, jak w innych krajach sadzenie bobu jest na porządku dziennym, uważając go za produkt równie pożywny, jak chleb czyli żyto. Dziś komissya obradująca, z polecenia Departamentu uznała, iż chleb z mąki żytniej z dodatkiem mąki grochowej lub z bobu, jest równie pożywny jak czysto żytni. Za najpożywniejszy jednak uznano z mieszaniny żyta z kukurydzą, wierzymy temu bardzo, bo niektóre gatunki bułek, wypiekane przez pierwszą naszą piekarnię warszawską Kazimierza Kropiwnickiego z mąki kukurydżowej są wyborne, jak zresztą wszystko z tej piekarni które sprzedając, kajzerki po 1 kopiejce, daje je takie, jak bywały dawniej. Inne piekarnie, mające się za pierwszorzędną nawet, pieką jakieś kulki twarde, które bułkami nazwać nie można, wprawdzie po 3 za 2 i pół kopiejki, ale czyż kto żąda w obec drożyzny mąki taniości, mamy jednak prawo żądać właściwej wielkości bułek, jaką daje nam piekarnia Kropiwnickiego. Wracając do chleba, odzywam się do pań gospodyń wykształconych, bo już wiemy, że kobieta bez wykształcenia nie może być dobrą gospodynią, aby same wglądały w to, iżby lud nasz mąkę grochową domieszczywał do żytniej, a przedewszystkiem, aby same dawały przykład, ku temu piekąc

we dworze chleb podobny dla służby, przykład we wszystkim więcej może, jak słowo nawet z ambony kościelnej wyrzeczone. Święta prawda, com tu napisała, bo ileż lat namawiam panie nasze wiejskie, aby urządziły u siebie praktyczną naukę gospodarstwa dla córek obywatelskich, a czy to pomaga?—przykładu dać nie mogę, mieszkając w mieście, ale niechby tylko kilka pań się zebrało na tę inicjatywę a ogół poszedłby za nimi. Do pierwszej nauki zaliczam gospodarstwo nabiałowe, to jest obznajmienie się z różnymi systemami obchodzenia się z mleczym, centryfugalnem, szwedzkim, za pomocą wody i lodu, oraz dawnym piwnicznym, dla mniejszych ilości mleka najodpowiedniejszym. Dalej nauka wyrobu twardego masła, przechowywania go i wyrabiania celniejszych gatunków sera. Drugim działem uważam produkowanie drobiu, tuczenie go i przysposabianie go na artykuły handlowe. Następnie idzie dział owocowy i warzywny, wyrabianie konserw owocowych, oraz wyrabianie win z soków owocowych. Czwartym działem a bardzo produkcyjnym jest hodowla trzody chlewnej na szynki i na sprzedaż handlową młodemi wieprzakami dziesięcio - miesięcznymi, jako najlepszymi na wszelkie wyroby massarskie. W końcu nauka gospodarstwa spiżarnianego i piwnicznego; umiejętne wyzyskanie produktów gospodarczych, wypiekanie chleba, ciast, konserw, wreszcie ogólna nauka sztuki kulinarnej, porządku domowego—pranie i prasowanie. Są to wszystko ważne gałęzie gospodarstwa domowego, z którymi młode pokolenie naszych pańien zapoznać gruntownie należy, —gdyż są to wszystko najważniejsze gałęzie gospodarstwa domowego, według dawnych i nowych w tej dziedzinie ulepszeń, od czego zależy pożądaný rozwój ekonomiczny gospodarstwa kobiecego.

Ponieważ miejskie gospodynie rzadko kiedy mogą mieć sposobność produkowania czegoś na sprzedaż, niechże przynajmniej oszczędnością dadzą przykład gospodarności. Mam tu na myśli paliwo w mieście, co do którego służba nasza jest uosobioną rozrzutnością. Szkoda, że dwa rodzaje paliwa, jak torf, którego mało jest pokładów, czy też eksploatujących w kraju naszym i koks, wytwarzający się przy fabrykacji gazu nie przyjeły się u nas,—węgiel, owo najgorętsze paliwo, daje pole do marnowania go. Najprzód służba za wiele zużywa drzewa na podpałkę, gdyż z doświadczenia wiem, że jedną małą wiązka za kopiejkę można podpalić najmniej dwa a nawet 3 piece, ale trzeba chcieć tego, służba zaś myśli tylko o swej wygodzie. Powtóre, daleko mniej się wypala węgla, jeżeli go się kładzie do pieca dużymi kawałkami, bo takie dłużej trzymają ciepło, należy tylko w małą godzinę najwyżej zamknąć piec, czyli zasrubować, a wtedy rozpalone dobrze, 24 godzin utrzymują ciepło. Chcąc zaś mieć w pokoju ciepło za godzin dwie najdalej, trzeba zapalić drobnymi węglami, mieszać i pilnować, aby się co najprędzej do czerwoności rozpałyły, a wtedy zaraz zamknąć, zaręczam, iż od chwili podpalenia w piecu, za 2 godziny będzie ciepło w pokoju. Głównym jednak celem moim, pisząc o oszczędności paliwa było, iż mało bardzo gospodyń każe u siebie wypalać

miął z węgla, formujący się stosami w piwnicy. Mało która nawet wie i rozumie, co to jest miął z węgla—służba donosi, iż już nie ma węgla, pani każe przywieźć i rzecz skończona, wszakże każdy wydatek państwa jest najwyższą rozkoszą dla służby, bo któraż z nich dba, by oszczędzić coś z kieszeni państwa. Dawniej córka domu lub ktoś z zaufanych wydawał węgle z piwnicy, wiem nawet, jak jedna bogata panna zrobiła konkietę ze ślicznego chłopca adwokata tem, iż mieszkając w jednym domu widywał, jak owa panienka codziennie chodziła do piwnicy wydawać węgle. Wprawdzie była sama ładna a co więcej bogata, kto wie, czyby się to małżeństwo z miłości udało, gdyby było inaczej. Otóż w tym samym domu, było to przy ulicy Miodowej, wprowadziwszy się zastałam w piwnicy ze 3 korce miału, (bo i ja sama, będąc młodą, wydawałam węgle) a że czytałam gdzieś, iż w Belgji panie, siedząc z robotą w ręku przy żelaznym piecyku, dokładają do ognia kule ze zmoczonego miału węglowego, że słyszałam, iż w łaźni parowej na Zjezdzie sprzedają miął korcami, gdyż przy maszynie parowej źle się wypala, więc i ja kazałam ów cudzy miął przynieść do mieszkania, zwilżać go i wypalać i odtąd pomyślałam po nowy zapas węgla, póki miął nie był wypalony. Po podpaleniu drzewem i troszką węgla, gdy jest już czerwono pod blachą, kładę ciągle łopatką żelazną ów zwilżony miął, który się pali płomieniem jak drzewo, i można przy nim piec pieczyście a nawet ciasto, do czego konieczny jest silny płomień. Trzeba tylko aby pani sama dopilnowała, żeby służąca kilka razy w ciągu gotowania obiadu popiół z pod blachy wybrała i zalała go zimną wodą, postawiwszy w sieni, gdyż żadna kucharka sama z siebie tego nie robi, są na to za leniwe. Naturalnie, iż wypalanie miału ma tylko miejsce w kuchni, do pieców nie może mieć zastosowania. I odtąd nie ma u mnie nigdy miału, gdyż wraz z węglami każe oddzielnie kubelkiem przynosić miął, tak, iż po spaleniu przywiezionych węgla i miału bardzo mała ilość zostaje do zabrania. Jeszcze jedna oszczędność w kierunku węgla. W czasie gotowania obiadu przepalają się ślicznie małe węgielki kamienne wielkości orzecha włoskiego, te obcegamy wybierać na komin aby wygasły i spotrzebowywać przy nastawianiu samowara, są lekkie, wyborne się rozrzucają i prędko, a zawsze to taniej jak drzewne.

Znudziłam panie, gniewacie się na mnie, a może nawet nasza literatka Ostojka, napadająca w „Kuryerze Codziennym“ na wyzyskiwanie służby przez panie nie przyzna mi słusności, a jednak tak jest i powtarzam, gdzie pani sama nie wgląda w szczegóły drobiazgowej oszczędności, tam służba od rana do nocy marnuje dobytek państwa.

Lucyna Cwierzakiewicz.

Eleganckie nakrycie stołu.

Nakrycie stołu zdaje się każdej młodej gospodyni rzeczą bardzo zwyczajną. A jednak rzecz sama nie jest tak prosta, jakby się zdawać mogło, choćby tylko dla tego, że i tu moda potrafiła postawić swoje poważne warunki, i nawet w urządzeniu stołu żąda jakiegoś wyższego delikatnego pojęcia, o którym się nie śniło naszym prababkom. Sądziemy więc, że robimy przysługę młodym gospodyniom, dając im wzór eleganckiego nakrycia stołu. Z zasady idzie gospodyni o to, aby cała zastawa stołu robiła miłe wrażenie. Nie powinna być pozbawiona przyborów, ale i nadmiar psuje ich harmonię ogólną, szczególnie przy małych stołach należy się bronić od tego. Najlepiej posługiwać się stołami wysuwanymi, które się przedłuża przez włożenie dokładnie pasujących desek. Przytem należy pamiętać, że za wąskie stoły są niewygodne. Szerokość stołu powinna wynosić co najmniej 118 cent. a nakrycia powinny następować po sobie w odstępach 64 cent. do 70 cent. Stół ustawić należy w samym środku pokoju wzdłuż jego wielkości, a zadaniem gospodyni jest uważać, aby goście siedząc przy stole nie byli narażeni na przeciąg powietrza, nie byli zmuszeni usuwać się z krzesłami przy otwieraniu drzwi, a przedewszystkiem, aby nie byli żenowani niezręczną usługą, dla tego należy poprzednio wydać służbie szczegółową instrukcję, a nadewszystko wymagać od niej codziennie starannej obsługi, chociażby tylko dla samej wprawy w takową. Przedewszystkiem należy unikać sztuku i hałasu przy stole, i w tym celu jest konieczne podłożyć pod obrus grubą angielską serwetę lub wojłok, który miękkością swoją będzie przygłuszał szczeł sztućców i stawianych na stole przedmiotów. Obrus z cienkiej lnianej tkaniny powinien być rozciągnięty gładko bez najmniejszych zagięć i fałdek, i spadać naokoło po za brzeg stołu blisko na pół łokcia.

Po rozpostarciu obrusa należy poustawiać przez środek wpodłuż stołu, większe ozdoby, do jakich należą: patery do owoców, żardinierki napelnione kwiatami, patery z konfiturami, lampy albo kandelabry. Sam środek stołu zajmować powinna najokazalsza ozdoba, np. wysoka patera z owocami a przy domowych uroczystościach, tort z piramidą, jako dekoracja stosowna do okoliczności. Kryształowe salaterki z kompotami, i koszyki z pieczywem, serwisy do musztardy, octu i oliwy, są obecnie przy eleganckim nakryciu wykluczone, stawia się je na stole tylko przy zwyczajnym nakryciu, a podczas ceremonialnych przyjęć podawać je winna służba przy odpowiedniej potrawie.

Co do nakryć, to te ustawiają się tuż przy brzegu stołu po jednym lub po dwa płaskie talerze; obok nich z prawej strony kryształowe srebrne podstawki, na nóż, widelec i łyżkę, a przed podstawką małe kryształowe solniczki przed talerzami, umieścić szklanki, kieliszki, a mianowicie: do czerwonego wina, do białego i t. d. Po lewej stronie nakrycia należy umieścić mały kompotowy talerzyk z taką łyżeczką. W końcu na talerzu ułożyć w troje lub czworo zagiętą sztucznie ułożoną serwetę. Wino ustawia się na stole w odpowiednich karafkach lub butelkach, rachując jedną z nich na dwie osoby. Do ostatecznego przystrojenia stołu należą jeszcze pisane lub litografowane kartki z jadłospisem, dekoracyjne kwiatki na nakryciach przeznaczonych dla dam, przytem inteligentna gospośka powinna przy rozmieszczaniu osób mieć na względzie sympatyje i gusta osobiste swoich gości, dla ogólnej harmonii i wesołości towarzysztwa.

W serwisie nie tylko należy zważać na dobroć porcelany, ale także i na jej estetyczny kształt, oraz malowanie. Najpierwsze tu miejsce zajmuje porcelana francuska, dalej idzie karlsbadzka i angielska. Z kryształów pierwsze miejsce zajmują belgijskie, z tańszych czeskie i szląskie. Co do

reszty zastawy stołowej, srebra, alfenidy i bronzów, te zależą od indywidualnego gustu właścicieli, do koniecznych ozdób stołu, podyktowanych przez teraźniejszą modę, należą żardinierki, figury i świeczniki, oraz patery z majoliki, będące imitacją starożytnych zabytków saskich.

L. C.

nie da się już naprawić, należy więc być ostrożnym co do użycia ilości niedokwasu żelaza.

Przypominamy, że glina żółta używana do malowania ścian kuchennych, jest dobrym i tanim sposobem zakolorowania na żółto firanek.

N. B.

Pranie wełnianych materyałów.

Pranie materyałów wełnianych wymaga wielkiej staranności i uwagi, chcąc zachować pierwotny ich kolor i miękkość. Podajemy kilka uwag w tej mierze:

1. Nie należy prać jednocześnie ani w tym samym płynie, ani w tym samym naczyniu materyałów w odmiennych kolorach. Spowodować to może udzielenie się farby ciemniejszej materyałom jaśniejszym.

2. Woda odnośnie do ługu nie powinna być cieplejszą nad 28°. W przeciwnym wypadku tkanina stanie się twardą. Można temu po części zapobiedz, rozrzedzając płyn esencją salomoniaku, ale pierwiastkowa miękkość nie zawsze już powróci.

3. Tkaniny barw delikatnych, nie mogą być prane ani w mydle ani w sodzie, lecz w gotowanym mydliku.

4. Piorąc cienkie tkaniny, należy unikać mocnego tarcia. Pranie ograniczać się powinno na ostrożnem płókanu i lekkim wyciskaniu materyału.

5. Do płókania najkorzystniejszą jest miękka czysta woda.

6. Nie należy po praniu wieszać kolorowych materyałów dla osuszenia na słońcu, ale w miejscu cieniście, wolnym od kurzu. Inaczej naraża się materyał na spłowienie, lub zupełną zagładę farby.

7. Nie należy prasować zbyt gorącym żelazem, bo to nadaje nieprzyjemną twardość wełnie a nadto źle wpływa na kolor.

8. Do apretury wełnianych tkanin nie należy używać ani kleju ani gummy arabskiej, a prosto wytrzeć szciotką w kierunku barwy i wymyć.

N. B.

Nowy sposób farbowania firanek na kolor „crème.”

Pomiędzy wypróbowanymi środkami farbowania tkanin bawełnianych na kolor „crème,” najpraktyczniej okazał się niedokwas żelaza, ponieważ materyał w ten sposób zafarbowany nie błądnie od słońca, nie puszcza w następstwie praniu i raz tylko jeden potrzebuje być wykonanym. Postępować jak następuje: włożyć tkaninę w zimną wodę dla zupełnego przemoczenia, potem wyjąć i wycisnąć wodę ostrożnie, żeby nie uszkodzić materyału. Do tej-to wody wlać odpowiednią ilość niedokwasu żelaza, w czym zanurzyć po wytrzymaniu z pierwszej kąpieli firanek i takowe przewracać w balii, jak to ma miejsce przy każdym farbowaniu. Następnie rozpuścić około 50 gram. sody na 100 litrów wody gorącej i w tym zanurzyć na krótki czas mokrą tkaninę, na czym farbowanie skończono. Gdyby kolor nie okazał się dość ciemny, do pierwszej wody zimnej dolać jeszcze trochę niedokwasu żelaza, zanurzyć raz jeszcze i powtórnie na chwilę włożyć do tej samej wody z sodą. Następnie tkaninę w czystej wodzie wypłukać i wysuszyć. Kolor zbyt ciemny

Cąber cielecy z biszamelem.

Od pewnego czasu cieleca pieczeń uważana jest za pospolite danie, otóż na eleganckich stołach podają cąber cielecy z biszamelem głównie na kolacje. Trzeba u rzeźnika obstałować aby wyjął cąber z cielaka, tak, jak to robią z barana; taki cąber urownoważony dobrze kostki kotletowe, aby ich znać nie było i aby cąber wyglądał jak polędwica, wyżyłować z wierzchniej błonki, zupełnie jak sarnę i naszpikować tak samo cienką słoninką z każdej strony po 2 razy; przed samem wsadzeniem w piec nasolić, żeby nie zczernieniał, wsadzić w bardzo gorący piec na brytfannie miedzianej, nie potrzeba rusztu, bo kość spodnia jest rodzajem rusztu, polewać gorącym masłem, a gdy się zacznie rumienić, wtedy polewać zrobionym oddzielnie biszamelem ze słodkiej lub świeżej kwaśnej śmietany, lepiej zawsze ze słodkiej, to polewanie powtarzać często aby się uformowała skorupa prawie strupiąca, w końcu obsypać grubo tartym parmezanem i jeszcze raz poleć biszamelem, podając odkroić mięso od kości, jak się sarni cąber podaje i pokrajać w ukośne plasterki, kładąc je napowrót na grzbiet kości. Biszamel patrz w książce p. t. „365 obiadów.” Do takiej pieczeni podaje się salata, nigdy komput, bo cielecina zawsze jest mdławie mięso.

L. C.

Bryndza z owczego mleka.

(na żądanie).

Najlepsza bryndza robi się z twarogu owczego. W mleko owcze, świeżo wydojone wlewa się, na garniec mleka kieliszek podpuszczki, którą się otrzymuje z wymoczonego i oczyszczonego żółdka cielecego, zostawia mleko na godzin 24, w którym to przeciągu czasu twaróg oddzielony od serwatki zlewa się w worki, wyciska i natychmiast wyrzuca na nieckę, rękami rozkrusza i stawia na słońcu. Po trzech dniach, podczas których należy ciągle rękami rozkruszać, formując się gąłki twarogu, takowy nabierze żółtego koloru, wtedy zebrać go w donicę, wsypać dla smaku soli i kminku, rozcierać wałkiem, aż się uformuje jednolita masa. Masę tę złożyć w faskę lub kamienny słój i zostawić w suchej piwnicy na cztery lub sześć tygodni. Wtedy wyrzucić znowu na nieckę, wlać na kwartę bryndzy mały kieliszek wina mader lub kseresu, lejąc nie od razu, ale po łyżce, bo się inaczej dobrze wymieszać nie da, na czym wiele zależy, zostawić w donicy lub niecce na 6 godzin, aby się wymacerowało i znowo złożyć w słoje kamienne. Bryndza tak urządzona już w cztery tygodnie ma smak starej węgierskiej.

L. C.

DOŚWIADCZENIA GOSPODARSKIE.

Przed zabiciem perliczki wlać jej w gardło kieliszek czerwonego wina a następnie udusić, wiążąc jej gardło sznurkiem. Będzie miała smak bązanta.

L. C.